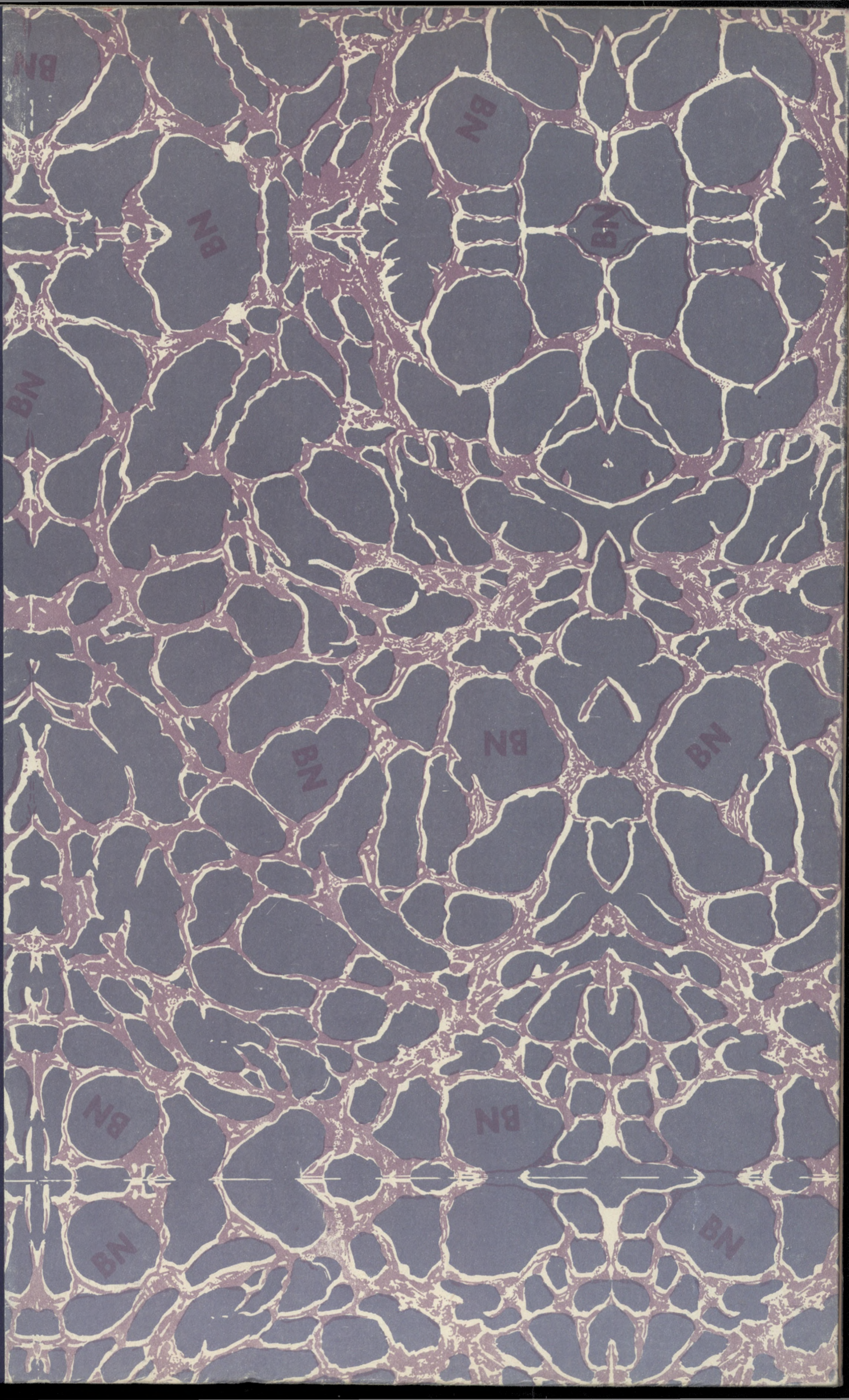
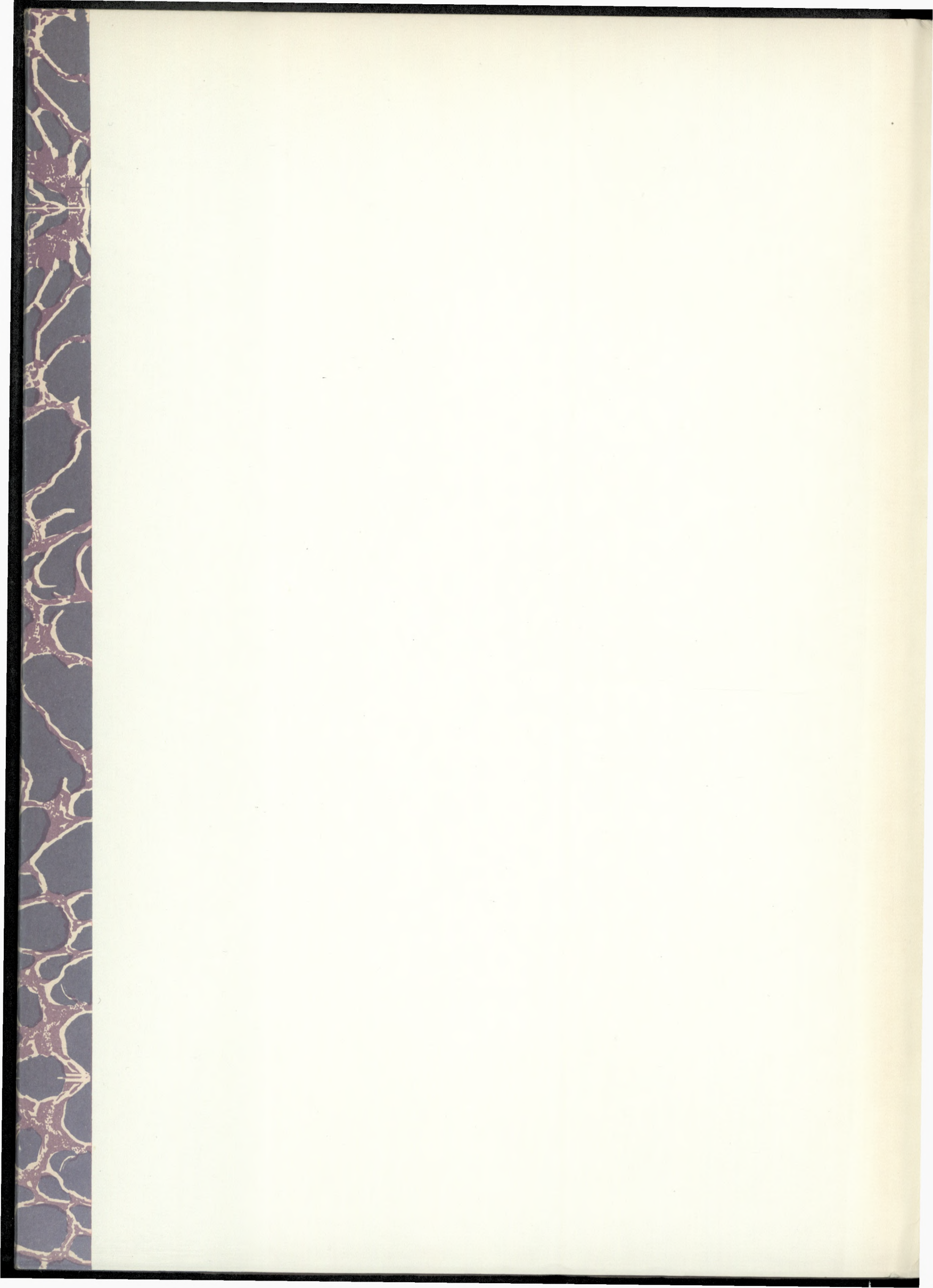


623406 \15







III 623.406/15

NR. 15. KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ CENA 10 GR

BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU



NIEZWYKŁE PRZYGODY PUŁKOWNIKA AMERYKAŃSKIEGO W. F. CODY'EGO

BIAŁY WÓDZ



BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU



BIAŁY WÓDZ

Wdzięczność Buffalo Billa

Przybycie poczty było dla fortu nielada wydarzeniem. Gdy pocztylion wydobywał ze swego worka listy, ogarnęło wszystkich wielkie podniecenie. Tu, na najdalszym krańcu cywilizacji, każda wiadomość od ludzi żyjących daleko, w miastach i spokojnych wsiach, była dla „ludzi Granicy“ cenna i pełna doniosłości.

Oficerowie, żołnierze i wywiadowcy z napięciem patrzyli pocztylionowi na ręce i uważnie słuchali, czy też nie wymieni ich nazwiska.

— William F. Cody! — zawołał w pewnej chwili pocztylion.

Z krzesła stojącego pod ścianą powstał wielki wywiadowca i ze zdziwioną miną wyciągnął rękę po list. Przyjrzał się adresowi i uśmiech rozjaśnił jego piękne, męskie oblicze. Pismo było widocznie znajome Buffalo Billowi.

Cody uważnie przeczytał list i w zamyśleniu uderzał kopertą o dłoń. Zastanawiał się widocznie nad czymś głęboko bo na czole jego ukazały się zmarszczki. Dziki Bill Hickock, który siedział obok patrzył zdziwiony na przyjaciela i pykał swą krótką fajeczkę. Wreszcie zapytał:

— Co się stało, Bill, że się tak głęboko namyślasz? Co to za list? —

— Zdaje się, że mówiłem ci kiedyś o człowieku, który nazywa się Lorenz Secor?... — rzucił Cody w zamyśleniu.

— Ach, mówisz chyba o tym młodym urzędniku bankowym z Santa - Fe, który się tobą opiekował w czasie choroby... —

— Tak. To ten sam. Ten człowiek uratował mi życie.... Była to niezwykła szlachetność ze strony tego człowieka który mnie przedtem zupełnie nie zna. Opiekował się mną w czasie choroby, jak najlepszy przyjaciel. Nie miałem wtedy w Santa - Fe żadnych znajomych. —

— Chciałbym uściskać dłoń tego człowieka! (To wspaniały chłop!.. — zawołał dziki Bill.

— Mam właśnie okazję odwzajemnienia mu się za jego dobre serce i szlachetność.. —

— Nie zamierzasz chyba opuścić fortu?.. — zaniepokoił się Hickock.

— Właśnie, że zamierzam... Muszę natychmiast wyruszyć, gdyż Secor potrzebuje mojej pomocy. Mogę spokojnie wyjechać, gdyż ty przecież zostajesz w forcie i w razie gdyby Sjuksowie zachowali

się nieodpowiednio potrafisz dać sobie z nimi radę! Mam do ciebie zaufanie, jeśli o to chodzi. —

— Czy Secorowi grozi poważne niebezpieczeństwo?.. —

— Bardzo poważne. Bank w którym pracował był systematycznie okradany i wszystkie poszlaki są skierowane przeciwko temu człowiekowi. Osobiście ani na chwilę nie wierzę w jego winę — znam tego człowieka zbyt dobrze. Secorowi grozi więzienie a nawet coś znacznie gorszego, gdyż prawo w stanie Texas przewiduje karę śmierci za podobne przewinienia. Nie czekał on oczywiście na uwięzienie i uszedł w prerię. Zna on właściwego sprawcę nadużyć w banku i podał mi w liście jego nazwisko. Ten łotr znajduje się w okolicy Santa - Fe... Secor prosi mnie, abym zajął się wyświeceniem tej sprawy i oczyścił go z hańbiącego zarzutu dokonania kradzieży. —

— Musisz jechać, Bill!.. — mruknął ponuro Hickock. — Diabelnie nie chce mi się tu zostawać, na całym Zachodzie nie ma pewnie nudniejszego fortu. Indianie są grzeczni jak baranki i całymi dniami człowiek nic innego nie robi, tylko je, pije i pali fajkę!.. —

— Rzecz jasna, że pojedę! — rzekł Cody. — Nazwisko tego łotra, który okradał bank i rzucił podejrzenie na mojego przyjaciela brzmi Wirt Weldon. Znam tego ptaszka skądinąd... to jeden z najsprytniejszych gagatków na Południu, maczał on palce w niejednej już ciemnej sprawie!.. Mam względem Secora podwójny dług wdzięczności, gdyż ten człowiek dwukrotnie uratował mi życie. Przedewszystkiem pielęgnował mnie w czasie choroby, a po za tym unieszkodliwił jakiegoś łotra, który, korzystając z tego, że byłem zupełnie nieprzytomny i niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu wskutek gorączki, usiłował mnie zabić. —

— Kiedy jedziesz, Bill? —

— W nocy. —

— Zabierzesz kogo? —

— Nie, jadę sam... —

— Jak długo zostaniesz w Santa - Fe? —

— Tego nie mogę wiedzieć, Bill! — rzekł Cody z uśmiechem. — Mam wiele do zdziałania. Przede wszystkim muszę odnaleźć ślad tego łotra Weldon, a potem dopiero trzeba będzie go ująć i oddać w ręce władz. Sądzę, że będę miał trudności... Dziki Bill położył dłoń na ramieniu Buffalo

Billa

— **Stuchaj Bill!...** — rzekł — Pamiętaj, że jeśli będziesz potrzebował pomocy, zawsze znajdziesz się kilku takich, którzy przybędą na każde twoje zawołanie... —

★

Gdy noc zapadła, brama fortu otworzyła się i wypadł z niej jeździec, który ostrym galopem ruszył w step. Buffalo Bill jechał do Texas, aby spłacić dług wdzięczności człowiekowi który niegdyś uratował mu życie, a który obecnie znajdował się w niebezpieczeństwie.

Ostrzeżenie

— Nie przekraczaj Granicy Śmierci, przyjacielu, gdyż nie znajdziesz tam nic innego prócz samotnego grobu... —

— Cóż to takiego ta Granica Śmierci? —

— Oh! Oczywiście nie jest ona oznaczona na ziemi kredą... Trzeba ją sobie wyobrazić. Nie zmieni to jednak faktu, że każdy biały człowiek, który ją przekroczy, traci skalp i życie!.. Indianie z tamtej strony wawozu nie należą do najłagodniejszych ludzi na świecie... —

— Znam Indian dość dobrze i nigdy nie zauważyłem, żeby byli łagodni, albo żeby się wyrzekli przyjemności skalpowania bladych twarzy... —

— Siedemnaście lat temu, mniej więcej, osiedlili się w tym wawazie koloniści. Przysięgam ci, przyjacielu, że nie należeli oni do gatunku niedorajdów!.. Byli to ludzie, którzy nie lękali się samego Lucypera... A jednak... Jak myślisz, co po nich zostało? Nic, prócz gruzów i zgliszczy! —

— Zostali wymordowani przez Indian?

— Czerwonoskórzy nie pozostawili przy życiu nikogo... Niektórzy z pośród kolonistów wybrali się w górę, aby szukać złota, którego nie brak w tej okolicy. Ci padli pierwsi ofiarą Indian, którzy zazdrośnie strzegą swych terenów łowieckich. Potem te czerwonoskóre diabły rzuciły się tłumnie na nowe osiedle białych, którzy bronili się dzielnie, ale mieli zbyt szczupłe siły, aby móc sprostać kilkuset wojownikom.

Wawóz ten jest niezwykle urodzajny, a w okolicy jest podostatkiem budulca, tak że osadnicy mieli już swoje domy i obsiane pola. Mógł tu powstać prawdziwy raj na ziemi, lecz Czerwonoskórzy nie zostawili po sobie nic, prócz krwi i zgliszczy. Tej nocy, gdy wpadł do wawozu, zamienił się on w prawdziwe piekło. Mogę coś o tym powiedzieć, bo jestem jedynym osadnikiem, który wtedy ocalał z pogromu... —

— Więc pan należał do tych kolonistów?..

— Tak... miałem tu swój dom.. —

— To bardzo smutna historia.. —

— Tak, a co gorsze może się ona powtórzyć, jeśli ludzie, na których czele stoisz, zechcą się tu osiedlić. Indianie nie złagodnieli bynajmniej od czasu ostatniej masakry. Od tamtego czasu żadna biała twarz nie ośmiela się przekroczyć tego wawozu, który został nazwany Granicą Śmierci. —

— Ale pan tu mieszka i Czerwonoskórzy nie czynią panu nic złego. —

— Nie szkodzę im... Nie mogą mi już zabrać nic, prócz życia, a to nie ma dla nich wielkiej wartości. Toleruję mnie tu, a nawet uważają moją obe-

čność za pożądaną, gdyż ostrzegam białych przed osiedleniem się.

— Dziękuję panu za informacje! Mogą mi się bardzo przydać. Mam jednak wrażenie, że ci którzy tu za mną przybędą nie będą lękali się Indian, a los ich nieszczęsnych poprzedników nauczy ich czujności i ostrożności. —

— Jakto? O kim pan mówi?.. —

— O kolonistach, którzy dążą tu za mną. Niech pan nie robi tak przerażonej miny!.. Są jeszcze ludzie, którzy dążą na Zachód mimo niebezpieczeństwa grożącego ze strony Czerwonoskórzych... —

— Nie! Nie! Tym ludziom nie wolno się tu osiedlić!.. To pewna śmierć.. Na miłość boską, niech ich pan odwiedzie od tego zamiaru! —

— Ci ludzie nie lękają się niczego! —

— Tym gorzej dla nich... A kim pan jest właściwie?

— Ja jestem tylko przewodnikiem, wywiadowcą, który szuka dla emigrantów ze Wschodu miejsca odpowiedniego na założenie osady —

— A więc bierze pan na siebie odpowiedzialność za życie tych ludzi! —

— Tak! I mam nadzieję, że nie zawiodę ich zaufania. Nie będę przed nimi krył, że osiedlenie się w tym wawozie połączone jest z ogromnym niebezpieczeństwem, ale jestem pewny, że nie ulegną się. Wawóz ten jest wymarzoną miejscem na założenie osady. Sam pan powiedział, że ziemia jest tu wyjątkowo żyzna i że w górach znajdują się bogate złoża kruszców. Okolica wydawała mi się początkowo bezлюдna i byłem niemało zdziwiony, gdy pan nagle zjawił się przede mną. Co zaś do Indian, to każdy kolonista wyruszający na Daleki Zachód musi być przygotowany na walkę z nimi.

— Jestem jedynym białym w tej okolicy, to prawda. Prawdą jest też, że roi się tu od Indian, którzy pałają śmiertelną nienawiścią do białych twarzy. Jeśli pańscy ludzie osiedlą się tu, los ich jest przesadzony... —

— Powiem kolonistom wszystko, czego się od pana dowiedziałem, wątpię jednak, czy to odwiedzie ich od zamiaru osiedlenia się w tej okolicy —

— Będą się śmiali z ostrzeżeń, ale tym gorzej dla nich... Biada im! —

Po tych słowach, starzec odwrócił się raptownie i oddalił się szybkim krokiem. Po chwili jego postać znikła wśród skał.

Buffalo Bill, gdyż on był właśnie owym wywiadowcą, zamyślił się głęboko. Kim był ten tajemniczy starzec? Dlaczego mieszkał sam na tym pustkowiu, otoczony zewsząd wrogimi Indianami? Czemu odradzał kolonistom osiedlenie się w okolicy?

Na te pytania Cody nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Musimy jednak wyjaśnić, dlaczego Król Granicy znalazł się na czele kowojem emigrantów ze Wschodu. Jak wiemy, wyruszył on z fortu, aby wykryć złodzieja z banku w Sante-Fe. W umówionym miejscu spotkał się on z Secorem, który doradził mu, aby udał się do południowych stanów pod jakimś pozorem, aby nie wzbudzać podejrzeń ze strony złoczyńcy i jego współników.

Buffalo Bill stanął więc na czele konwoju osadników i w ten sposób dostał się do miejscowości leżącej o 50 mil od Santa-Fe.

Na Granicy Śmierci:

Następnego ranka Cody wrócił do konwoju emigrantów, który zostawił w odległości kilkunastu mil od wąwozu i podzielił się z osadnikami swymi informacjami. Opowiedział im szczegółowo smutną historię kolonistów, którzy niegdyś zamieszkali w wąwozie, nie tając nic z groźących niebezpieczeństw.

Zwołano radę osadników, aby omówić sytuację i zastanowić się, czy osiedlenie się w żyznej do linii jest możliwe do przeprowadzenia.

— Według pańskiego sprawozdania — rzekł jeden z kolonistów — owej tragicznej nocy w wąwozie znajdowało się zaledwie około sześćdziesięciu osób. Nas jest przeszło stu pięćdziesięciu, nie licząc kobiet i dzieci. Wszyscy jesteśmy zaprawieni do walki i trudów, wszyscy dobrze władamy bronią i jesteśmy przygotowani na najgorsze.

Po za tym jesteśmy już ostrzeżeni, podczas gdy tamci nieszczęśnicy nie spodziewali się żadnego ataku i nie przedsięwzięli środków ostrożności. Wiemy, czego możemy się spodziewać ze strony plemienia Seminolów, które ma swe siedziby w okolicy. Nie wolno nam budować osobnych domów i dzielić ziemi, zanim nie wybudujemy solidnej fortecy, t. zw. „blockhous”. Tam będziemy musieli przebywać jakiś czas, pozostając w ciągłym pogotowiu bojowym. Podzielimy się na grupy i podczas gdy jedni z pośród nas będą patrolowali okolicę z bronią w ręku, inni zabiorą się do budowy domów. —

— Ruszamy natychmiast!.. — odezwały się głosy ze wszystkich stron.

Buffalo Bill ruszył znów naprzód, aby zbadać, czy Indianie nie zaczęli się po drodze. Wyruszył on na czele dwunastu jeźdźców, aby zbadać drogę i wyszukać najodpowiedniejsze miejsce na budowę blockhousu. Około południa mały oddział stanął w Przekętym Wąwozie, jak nazywano to miejsce. Garstka osadników znalazła niebawem miejsce pod budowę fortecy z pni drzewnych i natychmiast zabrała się do pracy. Cody zostawił ich przy tym zajęciu i udał się pieszo na wywiad w okolicy.

Po pewnym czasie znalazł się w tym samym miejscu, gdzie przedtem spotkał owego tajemniczego starca, który w taki kategoryczny sposób odradzał osadnikom zakładanie kolonii w wąwozie na Granicy Śmierci. Cody skierował się w głąb wąwozu, aż do miejsca, które Indianie nazywali Wzgórzem Sądu, gdyż odbywali tu swe sądy i narady.

Wywiadowca był zupełnie spokojny i nie obawiał się żadnej zasadzki, gdyż poruszał się bardzo ostrożnie, nie zdejmując dłoni z rękojeści swych dwóch coltów. Nagle jakiś daleki odgłos doszedł uszu Buffalo Billa. Z oddali słyhać było wyraźnie odgłos zbliżających się kroków. Król Granicy natychmiast zorientował się w sytuacji i skrył się w cieniu gęstych krzewów, które obficie zarastały wąwóz.

Wreszcie na drodze leśnej ukazała się jakaś postać. Była to dziewczyna, która biegła szybko, oglądając się ciągle po za siebie. Wydawało się, że ktoś ściga ją i że tajemnicza dziewczyna znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie.

W kilka chwil później na ścieżce ukazał się Indianin.

Był to potężny wojownik, nagi do pasa, z wielkim pióropuszem z orlich piór na głowie. Za nim

posuwało się pięciu wojowników, którzy najwidoczniej również ścigali tajemniczą dziewczynę.

Buffalo Bill ze zdumieniem stwierdził, że dziewczyna, mimo że miała na sobie strój indyjski, była biała. Twarz jej była wprawdzie ciemna naskutek działania promieni słonecznych, ale regularne rysy i jasne włosy zdradzały, że tajemnicza nieznajoma należała do białej rasy.

Cody zastanowił się przez chwilę. Był sam przeciwko sześciu nieprzyjaciołom, mając przy sobie jedynie swe dwa rewolwery. Walka mogła być bardzo nierówna i mogła się skończyć tragicznie dla wywiadowcy ale w Buffalo Billu przemówiło poczucie obowiązku. Miał oto przed sobą istotę prześladowaną, która uciekała przed przeważającą siłą. To zdecydowało. Król Granicy wydobył z pasa swe dwa colty i jednym skokiem znalazł się na ścieżce, tuż obok ściganej dziewczyny.

Młoda osoba wydała na jego widok okrzyk radości i rzuciła się w jego kierunku. Wreszcie znalazła się tuż obok wywiadowcy i padając przed nim na kolana zawołała:

— Niech pan mnie ratuje!.. Na miłość boską..

Cody skierował lufy swych rewolwerów przeciwko Indianom. Ci zatrzymali się natychmiast.

Buffalo Bill nie strzelał, lecz stał spokojnie mierząc wzrokiem swych przeciwników, z palcem na cynglu. Widział on, że gdyby z jego strony padł pierwszy strzał, Indianie rzuciliby się na niego wszyscy, a wtedy los jego byłby przesądzony.

Wojownicy stali w miejscu, jak przykuci do ziemi. Nie mogli zrozumieć, skąd wziął się nagle wśród skał ten tajemniczy biały, który nie lękał się wystąpić przeciwko sześciu uzbrojonym wojownikom. Pierwszy oprzytomniał wódz, który postępowal na czele wojowników. Rzucił się do przodu ze wzniesionym tomahawkiem, usiłując zaatakować Buffalo Billa.

Wywiadowca ostrzegawczo podniósł lufy swych coltów i zawołał w narzeczu indyjskim:

— Nie zbliżaj się bo będę strzelał! Oddal się stąd natychmiast wraz z twoimi ludźmi gdyż w przeciwnym razie przemówi moja broń! —

Cody nie dokończył jeszcze zdania; gdy jeden z wojowników błyskawicznym ruchem podniósł broń do oka i strzelił w jego kierunku. Kula uderzyła o skałę obok Codyego i odbiwszy się od niej, z przeraźliwym świstem poleciała w przestrzeń.

Był to dla wywiadowcy sygnał walki. Zagrzmiały jeden po drugim jego rewolwery i dwóch wojowników runęła rannych na ziemię. Jeszcze nie rozwiał się dym po wystrzałach, gdy huk rozległ się na nowo i wódz Czerwonoskórych wydał okrzyk bólu. I jego ugodził celny pocisk Króla Granicy.

Pozostali Indianie rzucili się do ucieczki nie pamiętając o rannych, którzy musieli uchodzić o własnych siłach, jęcząc z bólu.

— Niech pan ucieka! — zawołała dziewczyna. — Oni napewno powrócą i przywiodą innych wojowników... Pan jest przecież sam!.. —

— Nie, moje dziecko! — rzekł Cody. — Nie mogę cię zostawić tu samej na pastwę niebezpieczeństwa... —

— Teraz nie mi nie grozi, gdyż mogę wrócić spokojnie do swego plemienia... —

— Jakto? Przecież nie jesteś Indianką?... —

— Nie, ale mimo to mój ojciec jest wodzem plemienia Czerwonoskórych. Jest on biały tak jak ja, ale nienawidzi białych i walczy z nimi ciągle... Musi się go pan strzec tak samo, jak Indian!.. —

— Kim jednak byli ci Indianie, którzy cię ścigali? —

— To był wódz sąsiedniego plemienia, Czarne Serce... Ale nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Niech pan stąd ucieka jak najprędzej!.. Niech pan ucieka z tych gór i nigdy tu nie wraca! —

— Dlaczego?.. —

Ale dziewczyna nie odpowiedziała już. Puściła się biegiem poprzez skały i przeskakując jak kozica z jednego kamienia na drugi znikła niebawem z oczu Buffalo Billa.

Wywiadowca wracał tą samą drogą, którą przyszedł do miejsca, w którym spotkał tajemniczą dziewczynę. Na skrzyżowaniu dróg natknął się znów na starca, który w swoim czasie odradzał mu sprowadzenie osadników na Granicę Śmierci.

— Jak widzę, nie wziął pan sobie do serca moich ostrzeżeń... — rzekł tajemniczy starzec.

— Owszem, staram się być w ciągłym pogotowiu bojowym i czuwam nad osadnikami! — uśmiechnął się Cody.

— Osadnicy długo nie wytrzymają. Jeśli zaś uprą się i zostaną, wszyscy stracą swe skalpy, nie wyłączając pana! Ale, ale!.. Słyszałem jakieś strzały... czy pan polował?

— Nie. Odbyłem tylko krótką pogawędkę z Czerwonoskórymi którzy chcieli zaatakować jakąś białą dziewczynę. —

— Białą dziewczynę? — zawołał starzec z dziwnym błyskiem w oczach. Gdzie ona teraz jest? Co się z nią stało?... —

— Uciekła. Powiedziała, że wraca do swego plemienia... To jakaś dziwna dziewczyna — biała, a nosi strój Indian i mieszka wśród nich...

Niesamowity starzec nie odpowiedział ani słowa, lecz odwrócił się nagle od wywiadowcy i oddalił się szybko.

Dolina widm

— Miejsce na blockhouse zostało wybrane na szczycie niewielkiego wzgórza z którego dobrze można było obserwować okolicę. Niebawem do doliny przybyła reszta osadników i cała okolica rozbrzmiewała hukami siekier i zgrzytem pił — to osadnicy ścinałi drzewa na budowę fortecy i domów mieszkalnych.

Konie i bydło domowe pasły się wśród soczystej trawy pod opieką chłopców, podczas gdy mężczyźni byli zajęci przy budowie, a kobiety przygotowywały strawę.

Buffalo Bill opowiedział osadnikom o swej przygodzie i o powtórny spotkaniu z tajemniczym starcem. Zalecił on jaknajdalej idącą ostrożność i nieustanna czujność, ostrzegając przed Czerwonoskórymi. Całą noc dokoła obozu krążyły uzbrojone straża, ale nigdzie nie było śladu nieprzyjaciela. Noc minęła zupełnie spokojnie.

Osadnicy nie ludzili się bynajmniej tym pozornym spokojem i nie mieli zamiaru zaniechać czujności, ale serca ich napędlili nadzieja, gdyż wierzyli teraz więcej we własne siły. O świcie przystąpiono natychmiast do dalszej pracy.

Dzień mijał za dniem. Blockhouse był już prawie zupełnie ukończony, a Indianie ciągle nie dawali o sobie znaku życia.

W dolinie zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu chaty osadników. Przystąpiono również do podziału ziemi i narzędzi rolniczych, a niebawem pierwsze pługi zaczęły głębokimi bruzdami znaczyć urodzajny grunt.

Koloniści pozostawali jednak ciągle w pogotowiu. Mimo, że każdy miał już własny dom, noc spędzano w fortecy, gdzie łatwiej było się wspólnymi siłami obronić niż w rozproszonych po całej dolinie chatach. Osadnicy ani na chwilę nie zapominali o strasznym losie, jakiego doznali ich poprzednicy.

Pewnej nocy rozległy się nagle okrzyki. Buffalo Bill z garścią osadników wypadł z blockhousu i po pewnym czasie przyniósł smutną wiadomość — chaty, które pobudowali sobie koloniści zostały spalone. Sprawcy napadu znikli, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Nikt jednak nie wątpił, że byli to Czerwonoskórcy.

Przez okna blockhousu widać było lunę pożarów, trawiących dobytek kolonistów. W pierwszej chwili osadnicy zamierzali wypaść z fortecy i rzucić się w ślad za Indianami, ale powstrzymał ich potężny głos Buffalo Billa.

— Nie ruszać się z miejsca! — zawołał wywiadowca. — Czy nie rozumiecie, że te diabły czekają tylko na to, żebyście opuścili blockhouse i rzucili się za nimi w pościg? Wśród skał i przepaści pokonają was bez jednego wystrzału!

Tej samej nocy osadnicy odbyli naradę. Wszyscy byli zdecydowani pozostać na Granicy Śmierci i dalej prowadzić dzieło kolonizacji. Napad Czerwonoskórych podniecił tylko ich opór i zachęcił do wytrwania. Uchwalono, że każdej nocy spać będzie tylko połowa mężczyźni, zaś druga połowa będzie krążyła z bronią w ręku w okolicy, aby uniemożliwić Seminołom dalsze napady. Topór wojenny został wykopany i rozpoczęła się walka na śmierć i życie...

Nazajutrz rano przystąpiono do budowy nowych domów. W dolinie znów rozbrzmiał huk toporów. Wszystkie oczy błyszczały zapałem, a pięści zaciskały się na myśl o Indianach. Oddział kolonistów pod dowództwem Buffalo Billa przemierzał ciągle okolicę z bronią w ręku, ale nie natrafiono na żaden ślad Seminołów. Indianie byli tu u siebie w domu i znali doskonale każde przejście skał i każdą ścieżkę.

Wieczorem, Król Granicy postanowił sam udać się na wywiad. Wydawszy swym ludziom odpowiednie instrukcje i zostawiwszy zastępcę, dosiadł swego rumaka i pogalopował w stronę gór. Zamierzał przejechać wzdłuż całej doliny, zwanej Granicą Śmierci, aby zbadać, czy nie ukrywają się tu wśród skał Indianie.

W pewnej chwili koń Buffalo Billa zatrzymał się nagle i stanął jak wryty w ziemię, drżąc na całym ciele.

W bladym świetle księżyca wywiadowca spostrzegł nieopodal jakiegoś tajemniczego jeźdźcę. Widok był iście niesamowity. Na białym koniu siedziała jakaś postać spowita w białą, powiewającą szatę. Dziwny jeździec miał wygląd tak upiorny, że nawet Buffalo Bill, któremu obce było uczucie strachu, poczuł się trochę nieswojo.

— Wygląda jak widmo!.. — pomyślał. — Ale nie myślmy o tym! Gdyby to był nawet diabeł we własnej osobie, muszę pojechać śladem tego dziwnego jeźdźcy. Muszę zbadać jego tajemnicę!

ŚMIECH TO ZDROWIE!

Salwy śmiechu wywołują arcydziełne przygody najznakomitszych komików ekranu.

W ilustrowanym albumie

PAT I PATACHON

SERIA VII.

Wybór anegdot i dowcipów
Do nabycia wszędzie

CENA 30 GR.

Wywiadowca spał konia i jak strzała rzucił się w kierunku tajemniczego zjawiska. Ale o dziwo! Widmo zdawało się wcale nie uciekać przed Codym! Przeciwnie, jeździec wyraźnie dawał mu znaki, jakby go przywoływał...

Buffalo Bill pochylił się niżej na siodle i podrażnił konia ostrogami, a tymczasem niesamowity jeździec zawrócił swego wierzchowca i zagłębił się między skały. Wywiadowca nie zamierzał zrezygnować z pościgu. Przeczował, że ta tajemnicza postać może mu wiele wyjaśnić.

Zbliżał się do widma w szybkim tempie, ale w chwili, gdy zdawało mu się, że już je dopędza, jeździec zniknął nagle, jakby się zapadł pod ziemię. Noc była jasna i Cody nie mógł zrozumieć tego nagłego zniknięcia. Nie wierzył oczywiście w duchy i przypuszczał raczej, że zjawia zna doskonale okolice i wszystkie przejścia wśród skał.

Szukanie drogi wśród skał podczas nocy byłoby szaleńczym przedsięwzięciem, dlatego też Buffalo Bill postanowił zbadać sprawę dopiero nazajutrz, przy świetle dziennym. Teraz zawrócił konia i skierował się w zamyśleniu ku obozowi osadników.

Nagle rozległ się straszliwy śmiech, który wyrwał Cody'ego z zamyślenia, a czyjś chrapliwy głos rozbrzmiewał wśród skał:

— Ha! Ha! Ha!... Głupcze!... Nędzny zuchwałczel!... Czy myślisz że uda ci się ująć Ducha z Przeklętych Gór?... Pilnuj się, nikczemniku!

Niesamowita opowieść

Buffalo Bill ściągnął gwałtownie uzdę swego wierzchowca i zatrzymał go raptownie. W tej samej prawie chwili z cienia wynurzyła się jakaś postać i stanęła w pełnym świetle księżyca. Cody od razu poznał owego tajemniczego starca, z którym już dwukrotnie rozmawiał.

— A więc znów się spotykamy... — rzekł.

— Sądze, że będziemy się spotykali jeszcze niejednokrotnie!... — rzekł starzec z dziwnym uśmiechem. — Będziemy się spotykali tak długo, aż nie nadejdzie kres...

— Jaki kres? — rzekł wywiadowca ze zdumieniem.

— Twoja śmierć!

Cody nie przeraził się bynajmniej tej przepowiedni, ale nic nie odpowiedział, czekając na wyjaśnienia. Sytuacja wydawała mu się dziwaczna. Wreszcie wywiadowca przerwał milczenie.

— Nie rozumiem twoich słów! — rzekł spokojnie. — Wszystkim grozisz śmiercią — zarówno osadnikom, jak i mnie.

— Mówię na podstawie doświadczenia i jestem pewny, że moje słowa sprawdzą się wkrótce!

— A ja nie lękam się niczego i jestem pewny, że osadnicy zdobędą ten kraj! Powiedz mi jednak, przyjacielu, kim jest ten tajemniczy jeździec, którego widziałem przed kilkunastu minutami?

— To widmo!

— Tylko bez głupstw przyjacielu!

— A jednak to jest zjawisko nadprzyrodzone...

— Czy wierzysz w to naprawdę?...

— Wiem o tym! Widziałem już niejednokrotnie Ducha z Przeklętych Gór... Objawia się on jednak przede wszystkim ludziom, których czeka bliska śmierć i wabi ich ręką. To zły znak, że go napotkałeś na swej drodze! Jeżeli pokaże ci się jeszcze raz, uciekaj stąd natychmiast, gdyż wtedy grozi ci nieuchronna zguba!

— Ani ja, ani osadnicy, nie boimy się żadnych duchów, a przed Indianami potrafimy się obronić.

— Szaleńcy... szaleńcy!... Żaden z was nie pozostanie przy życiu!... Domy wasze zostaną zrównane z ziemią, a pola spustoszone!

— To się okaże. Opowiedz mi lepiej coś o tym duchu.

— Na razie uratował ci życie. Gdybyś dalej dążył tą samą drogą, wpadłbyś w ręce Indian i byłbyś już oskalpowany. Widmo zatrzymało się tu i zmusiło do zmiany kierunku.

— A więc widmo zajmuje się ratowaniem zbłąkanych białych przed Indianami!...

— Tak jest... To jest duch pewnej dziewczyny, która została uwieczniona przez Seminólów i umarła w ich wsi z tęsknoty. Czerwonoskórzy otaczają jej grób wielką czcią. Od czasu jej śmierci w dolinie pojawia się od czasu do czasu postać niewieścia na koniu...

— A więc ten biały koń to też duch? — zapytał Cody z uśmiechem.

— Naturalnie! — odparł starzec. — Czy nie zauważyłeś, że nie słychać wcale odgłosu jego kroków. Ten rumak porusza się zupełnie bezszelstnie...

— Rzeczywiście...

— Koń i jeździec są duchami! Zapamiętaj to sobie! Duch tej dziewczyny uratował cię tej nocy od niechybnej śmierci, ale to było jednocześnie ostrzeżenie. Jeśli ci życie miłe, uciekaj jak najprędzej z tej okolicy!...

— Więc ta zjawia nazywa się Duchem z Przeklętych Gór?

— Tak! Nazywają ją również Duchem ze Złotej Przełęcz. Pierwsi koloniści poszukiwali w górach złota i nazwali jedną z przełęcz „Złotą”. Nazwa ta była jednak zupełnie mylna, gdyż nie znaleziono tam nigdy ani uncji złota!

— Dziękuję bardzo za wyjaśnienia! — rzekł z uśmiechem Buffalo Bill. — Wróć teraz do moich ludzi i opowiem im wszystko, co przeżyłem i o czym słyszałem!...

Starzec nie odpowiedział ani słowa, lecz pożegnał wywiadowcę ruchem ręki i szybko zagłębił się między skały. Buffalo Bill zaś ruszył w kierunku obozu, rozmyślając po drodze o swej dziwnej przygodzie. W duchy oczywiście nie wierzył i zaprzęgał za wszelką cenę rozwiązać zagadkę tajemniczego jeźdźcy na białym koniu, poruszającym się bez żadnego szelestu.

Była to bezwzględnie kobieta. Kim była jednak? Dlaczego galopowała po nocach przez skały i przepaści? Na te pytania Cody nie mógł znaleźć odpowiedzi. Wydawało mu się, że tajemnicza zjawia może mieć jakiś związek z dziewczyną, którą wyratował z rąk Indian, ale nie miał na to żadnych dowodów.

Pozostawała jeszcze jedna zagadka do rozwiązania. Kim był ów starzec, który zjawiał się przed

wywiadowca w chwilach, gdy się go najmniej spodziewano i z takim uporem usiłował odwieść osadników od zamiaru osiedlenia się w okolicy?

★

Następnego dnia Buffalo Bill nie mógł znaleźć spokoju. Gdy zapadł wieczór, wywiadowca znów wydał swym ludziom szereg zarządzeń, dotyczących bezpieczeństwa, a sam udał się w kierunku Złotej Przełęczy, chcąc natknąć się na jakiś ślad tajemniczej zjawy.

Cody nie czekał długo. Znów, tak jak poprzedniego wieczoru, zjawił się wśród skał jeździec na białym koniu. Ręka widma znów uniosła się ku górze i dawała wywiadowcy jakieś znaki. Buffalo Bill skierował konia w stronę „ducha“, lecz w tej samej chwili widmo zaczęło dawać mu wyraźne znaki, aby nie posuwał się dalej w tym kierunku.

Wywiadowca nie chciał jednak zrezygnować z okazji zawarcia bliższej znajomości z tajemniczym zjawiskiem. Przynaglił jeszcze konia i zaczął zbliżać się do widma.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Niesamowity jeździec ściągnął nagle uzdę swego wierzchowca i zatrzymał go gwałtownie. Biały runak stanął dęba, a potem... jeździec i koń znikli, jak pod ziemią.

Cody znalazł się po chwili w miejscu, gdzie widmo jakby zapadło się w skały i rozpoczął poszukiwania. Miał przed sobą poszarpaną ścianę skalną, wysoką na kilkaset metrów, w której nie było żadnego przejścia, ani wąwozu. Zniknięcie tajemniczego jeźdźcy zaczęło wydawać się coraz dziwniejsze.

Nagle Buffalo Bill zauważył coś, co wyjaśniało wszystko. W pewnym miejscu, wśród nierówności na powierzchni skały, kryła się niewielka szczelina, która jednak mogła zmieścić w sobie jeźdźcę z koniem. Była ona tak ukryta, że tylko przypadkowo można ją było wykryć.

Król Granicy nie wahał się ani sekundy. Ujął konia za uzdę i zagłębił się w nieznanne przejście wśród skał. Szczelina rozszerzała się w dość wygodny korytarz skalny, w którym panowały jednak zupełne ciemności. Wywiadowca prowadził konia za uzdę i posuwał się śmiało naprzód. Wreszcie znów zabłysło światło księżyca i Buffalo Bill znalazł się po drugiej stronie skały. W odległości kilkudziesięciu metrów znów spostrzegł białą postać tajemniczego widma.

Jednym skokiem znalazł się znów na siodle i pogalopował w kierunku Ducha z Przeklętych Gór. Odległość znów zaczęła się zmniejszać, gdy nagle koń Codyego potknął się, stracił równowagę i runął na zakręcie, grzebiąc pod sobą jeźdźcę.

Buffalo Bill runął ciężko na skały i leżał oto nieprzytomny pod zwłokami swego konia. Minęło pół godziny w zupełnej ciszy i spokoju. Zdawało się, że los wywiadowcy jest przesadzony...

W pewnej chwili dał się słyszeć odgłos końskich kopyt i na zakręcie ścieżyny górskiej ukazała się jakaś postać dziewczęca, która prowadziła konia za uzdę. Dziewczyna zbliżyła się do leżącego i pochyliła się nad nim.

— Nie!... — szepnęła wreszcie... Nie jest zabity!.. Chwała Bogu...

Wywiadowca powoli dzyskwał przytomność. Czuł ból w całym ciele i nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Otworzył oczy i ujrzał pochyloną nad sobą twarz dziewczyny.

— To ty... — rzekł z trudem. — Przecież to ty wtedy uciekałaś przed Indianami...

— Tak! Pan uratował mi życie i wolność!.. Teraz się panu odwdzięczę... Zabiorę pana do mojego domu i wyleczę pana... Czy może pan powstać?

Buffalo Bill z trudem stanął na drżących nogach i śmiertelna bladeść pokryła jego twarz. Z ust jego nie wydarł się jednak ani jeden okrzyk bólu, ani jedno westchnienie. Z pomocą tajemniczej dziewczyny dosiadł jej konia i ruszono naprzód. Dziewczyna prowadziła konia za uzdę, wiedząc go wąskimi i jej tylko znanymi ścieżkami.

Wreszcie oczom Buffalo Billa ukazał się wielki budynek sporządzony z nieociekanych pni drzewnych. Dziewczyna pomogła mu zsiąść z konia i wprowadziła go do wnętrza. Wywiadowca był już u kresu sił i opadł natychmiast na posłanie, wyścielone skórami.

Córka białego wodza

Ledwo dziewczyna zdołała zakrzatnąć się koło rannego wywiadowcy, przed chatą rozległy się jakieś ciężkie kroki i po chwili w gwałtownie otwartych drzwiach stanął jakiś mężczyzna. Gdy ujrzał Codyego, spoczywającego bezwładnie na posłaniu, w oczach jego zapaliły się błyski wściekłości, a z piersi wydarł się okrzyk gniewu.

Buffalo Bill leżał zupełnie nieruchomo. Rozumiał, że życiu jego może grozić w tej chwili niebezpieczeństwo, ale nie był w stanie poruszyć się, aby sięgnąć po broń. Oczy jego spoczęły na człowieku, który wszedł do chaty. Był to biały... Był to więc już drugi biały, którego Cody widział w okolicy. Gość był ubrany w strój trapera, a uzbrojenie jego składało się z fuzji, rewolweru i noża.

— Ten gość nie podoba mi się wcale... — rzekł niezajomy ochryple. — Ubrany jest bardzo ładnie, ale czego on tu szuka właściwie i skąd się wziął w chacie?... Chciałbym wiedzieć...

— Znalazłam tego człowieka rannego wśród skał i przywiozłam go tu! — rzekła dziewczyna. — Nie wtrącaj się do niego!..

Ręka dziewczyny spoczęła na karabinie, w której była uzbrojona.

— Jeśli ten ptaszek jest ciężko ranny, tym lepiej! — zawołał znów mężczyzna. — Mogę mu natychmiast wpakować kulę w łeb i skrócić jego męczarnie!.. Ha! Ha! Ha!.. — roześmiał się.

To rzekłszy, łotr podniósł swą fuzję, jakby w zamiarze wprowadzenia w czyn swej pogroźki. W tej samej chwili ujrzał przed sobą lufę karabinu dziewczyny, która rzekła groźnie:

— Pilnuj się, Si Kent! Jeśli ośmielisz się wykonać jakikolwiek ruch w stronę tego człowieka, podziurawię cię kulami, jak s'to!

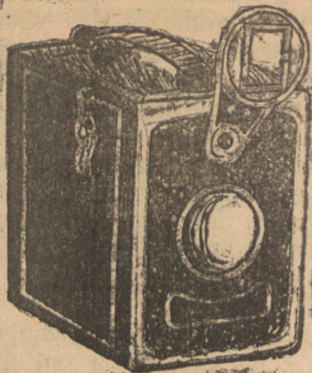
— Nie gadaj głupstw, Złotowłosa!.. — rzekł z krzywym uśmiechem. — To były tylko żarty. Nie uczynię temu gagatkowi nic złego, a gdy twój ojciec wróci, zrobi z nim co uzna za stosowne. Może odda go Indianom, aby się z nim nieco pobawili...

To rzekłszy opuścił izbę, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

— Dziękuję ci za uratowanie mi życia... — rzekł Buffalo Bill.

— Niech pan o tym nie mówi... Opatrzę panu teraz rany...

— Nie chcę tu dłużej pozostać... — rzekł wywiadowca. — Sprawiam ci tylko kłopot, moje dziecko!..



APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały, popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania, od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord” wysyłamy w ozdobnym futerale, łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za Zł. 8.95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, WARSZAWA, Pl. Napoleona I,
skr. poczt. 802 B. B.

— Nie wolno panu opuszczać tego domu, nawet gdyby pan był zupełnie zdrow. Nie ujedzie pan nawet pół mili, a już wpadnie pan w ręce Indian! Niećli pan nie zapomina, że znajduje się pan w samym sercu terenów Seminolów... Po co pan tu się zapuszczał?

— Jechałem śladem ducha... — uśmiechnął się słabo wywiadowca.

— Ducha?

— Tak. To jest Duch z Przeklętych Gór, albo ze Złotej Przełęcz... Nie znasz go?

— Słyszałam o nim... — rzekła dziewczyna w zamyśleniu.

— A może widziałaś kiedyś te tajemniczą damę na koniu?

— Tak...

— Kto to jest właściwie?

— Nie wiem... Wiem tylko, że ostrzega białych przed Indianami...

— A kim ty jesteś?

— Nazywają mnie Złotowłosa...

— To imie nadał ci prawdopodobnie Indianie.

— Tak!

— Chciałbym jednak wiedzieć, jak nazywasz się naprawdę...

— Jestem córką człowieka, który znany jest pod imieniem Czerwonej Ręki!... Jest on białym wodzem Seminolów i walczy razem z nimi przeciwko białym.

— To niemożliwe! Nie mogę sobie wyobrazić, że jesteś córką zdrajcy i bandyty!...

— Niestety, tak jest! Gdyby nie to, że pan uratował mnie z rąk Czarnego Serca, nigdybym nie odważyła się przywieźć pana tutaj. Mój ojciec zabiłby pana natychmiast!...

W tej samej chwili przed chatą znów rozległy się czyjeś kroki i po chwili do chaty wszedł człowiek wysokiego wzrostu, o włosach i brodzie przyprószonych siwizną. Gdy ujrzał wywiadowcę, leżącego na posłaniu, rzucił się bez słowa w jego kierunku. Dziewczyna stanęła mu na drodze.

— Ojczy! — zawołała. — Nie gniewaj się na mnie!... Znalazłam tego obcego człowieka ciężko rannego i sprowadziłam go tu... To ten sam człowiek, który mnie wyrwał z rąk Czarnego Serca!

Starzec zdjął rękę z rekojeści rewolweru i zbliżył się spokojnie do rannego.

— Znam pana! — rzekł Cody. — Pan jest tym samym człowiekiem, który mnie spotykał kilka razy wśród gór i odradzał osiedlenie się w tej okolicy. Teraz wiem, że jest pan również Czerwoną Ręką, wodzem Indian.

— Tak. Jestem człowiekiem, który usiłował odwieść pana od zgubnego zamiaru. Teraz czeka pana nieuchronna zguba. Ja pana nie zabiję, ale u-

cpynia to na pewno Indianie, którzy nie znają litości wobec białych...

— Indianie nie wiedzą, że mój wybawca tu się znajduje... Wie tylko Si Kent — rzekła dziewczyna.

— Co? — zawołał starzec ze zdumieniem. — Si Kent widział tego człowieka i nie zastrzelił go?! To niemożliwe!...

— Miał taki zamiar! — rzekła spokojnie Złotowłosa. — Gdy jednak ujrzał przed nosem lufę mojego karabinu, zrezygnował!...

Ucieczka

Mineło kilka dni. Stan Buffalo Billa wciąż się poprawiał, ale wywiadowca nie był jeszcze zdolny do opuszczenia posłania. Złotowłosa opiekowała się nim troskliwie, a Czerwonej Ręki i jego współnika Si Kenta nie było widać całymi dniami, gdyż przebywali oni przeważnie we wsi indyjskiej wśród swych czerwonoskórych sprzymierzeńców.

Pewnego poranka dziewczyna zjawiła się w chatę z wyrazem przerażenia na twarzy.

— Odkryłam straszną rzecz! — rzekła. — Przypadkowo podsłuchałam rozmowę pomiędzy moim ojcem, a Si Kentem... Mają oni zamiar jednej z najbliższych nocy zaatakować kolonistów. Zamierzają oni rzucić na osiedle swe wszystkie siły. Indianie już przygotowują się do wyprawy!...

— Muszę natychmiast wrócić i uprzedzić ich! — zawołał Cody żywo.

— Nie! Nie wolno tego panu robić!... W okolicy pełno jest wojowników z plemienia Seminolów, tak że nie będzie pan mógł przejechać niepostrzeżenie. Zabiją pana natychmiast... Mnie raczej uda się uprzedzić kolonistów. W każdym razie musi pan opuścić tę chatę jeszcze dzisiejszej nocy!...

— Będę więc mógł wrócić do swoich i pomóc im w walce...

— Sądzę, że powinien pan raczej udać się do Santa-Fe i sprowadzić pomoc wojskową, gdyż Indianie są bardzo liczni. Zresztą nie przyda się pan wiele w walce, gdyż jest pan jeszcze bardzo osłabiony...

— Mam więc opuścić przyjaciół w chwili niebezpieczeństwa?

— Sprowadzi pan przecież pomoc. Ja też mam zamiar ujść stąd i udać się za panem do Santa-Fe...

— Jak to? Więc pojedziesz sama, bez żadnej opieki w tak daleką drogę?...

— Niech się pan o mnie nie lęka. Znam wszystkie drogi i przejścia w górach i na prerii! Jeżeli pan uda się do Santa-Fe będę mogła również tam pojechać i skończyć z tym życiem wśród Indian i bandytów...

— Dobrze! — odparł Cody. — Przygotuję się dziś do ucieczki.

★

W nocy Złotowłosa wyruszyła do obozu osadników, aby ich przestrzec przed napadem Indian. Cody pozostał sam w izbie i niecierpliwie czekał na jej powrót, gdy nagle do chaty wszedł Czerwona Reka i rzekł.

— Hallo, przyjacielu! Widzę, że czujesz się rzeczywiście nietego, skoro nie ruszasz się z postania... ale gdzie jest moja córka?

— Wyszła przed niejakimś czasem i nie powiedziała dokąd się wybiera... — rzekł obojętnie Buffalo Bill.

— Nie szkodzi! Zostań tu sobie spokojnie, przyjacielu i śpij smacznie. Wybieram się teraz na przechadzkę, a gdy wrócę, będę ci mógł prawdopodobnie opowiedzieć kilka ciekawych historii!...

Biały zdrójca opuścił chatę, uśmiechając się do siebie.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, Cody jednym skokiem zerwał się z postania. Zrozumiał, że wyprawa Indian na osadę miała się odbyć tej samej nocy. Nie było czasu na zastanawianie się i na zwłokę.

Buffalo Bill wyślizgnął się bezszelestnie z chaty i pobiegł na miejsce, gdzie miał być przygotowany dla niego koń. Złotowłosa pomyślała o wszystkim. Cody znalazł dobrze wyekwipowanego i silnego wierzchowca oraz zapasy żywności. Broń swą zabrał z chaty.

Jednym skokiem znalazł się na siodle i pogalopował przez wąwóz. Myśli przebiegały przez jego głowę jak błyskawice:

— Nie wolno mi wracać do moich osadników... nie mogę teraz przebyć bezkarnie wąwozu, w którym roi się od Czerwonoskórych!... Muszę jechać do Santa-Fe i powrócić jak najrychlej z odsieczą! Tymczasem dziewczyna ostrzeże kolonistów, którzy przez pewien czas dadzą sobie na pewno radę... Żeby tylko do nich dotarła!

Szczęście sprzyjało Królowi Granicy przez całą drogę. Dotarł do Santa-Fe po kilku godzinach, nie natrafiając nigdzie na Indian, którzy znajdowali się w innej części wąwozu, w okolicy osiedla białych.

W garnizonie nie było wystarczającej ilości żołnierzy i Cody musiał czekać na posiłki dla kolonistów. Nie lekał się jednak bardzo o tych dzielnych ludzi, gdyż byli doskonale uzbrojeni, a jeżeli Złotowłosa ich przestrzegła, mogli się obronić przed przeważającymi siłami nieprzyjaciela.

Wieczorem wywiadowca wyjechał za miasto, aby wypatrywać, czy dziewczyna nie zbliża się od strony gór. Po drodze natknął się na jakiś rozwalony mur i postanowił poczekać nieco w tym miejscu. Ledwo stanął jednak obok muru, huknął strzał i kula przebiegła tuż obok twarzy Codyego. Buffalo Bill w jednej chwili zsunął się z konia i padł nieruchomo na ziemię. Nie wiedział z ilu wrogami ma do dzynienia i ilu ich jest i dlatego postanowił zyskać na czasie.

Gdy tajemniczy napastnik ujrzał, że Cody pada na ziemię, z ust jego wydarł się okrzyk radości i po chwili zbir znalazł się tuż obok leżącego Buffalo Billa. Zawahał się nieco, ale w końcu pochylił się nad leżącym i zaczął szperać po jego kieszeniach.

Ledwo jednak zagłębił rękę w kieszeni wywiadowcy, gdy ten ścisnął go w stalowe obreże swych ramion i powalił na ziemię. Bandyta nie mógł się

poruszyć ani nawet pisać. Był zupełnie unieszko-
dliwiony. Buffalo Bill skrepił go w mgnieniu oka i podniósł twarz złoicy do światła.

— Tym razem nie ujdiesz mi! — zawołał w końcu. — Poznałem cię, jesteś Wirt Weldon... Przymierzam ci, że trafisz teraz wprost do więzienia.

— Łaski, senor! — zawołał nędznik, który udawał Meksykanina.

— Zobaczymy, czy sąd udzieli ci łaski, lotrze! Znam cię bardzo dobrze i nie zwiedzisz mnie hiszpańskimi słówkami!...

Wirt Weldon, drżąc na całym ciele oczekiwał dalszych rozkazów Buffalo Billa. Był pewny, że nie pomoże mu teraz żadna siła i że trafi nieuchronnie do więzienia, albo i na szubienicę.

Pościg

— Na miłość boską, niech mnie pan oszczędzi... — bełkotał bandyta. — Opowiem panu wszystko! Wiem, że ściga mnie pan z polecenia Lorenza Secora...

— Opowiedz mi wszystko, co ci wiadomo o okradzeniu banku, a przyrzekam ci, że pomyślę o tobie i umożliwicie ci rozpoczęcie nowego życia — rzekł poważnie Cody.

— Leonard Duffingwell zorganizował wszystko — zaczął bandyta. — On jest wszystkiemu winien...

— Jaki? Przecież to syn właściciela banku?

— Właśnie! Dlatego było mu łatwo wykręcić się z całej afery!... Siedział po uszy w długach karcianych, a nie chciał żeby ojciec się o tym dowiedział... Mnie wziął do spółki, bo wiedział, że również potrzebuję pieniędzy i zgodzę się na wszystko. Teraz jestem bandytą bez czci i wiary, biedny Secor uciekł przed strasznym oskarżeniem, a tylko ten lotr jest na wolności i cieszy się powszechnym szacunkiem!... Pieniądze z kasy wykradałem ja, ale on dawał mi klucze... Secor nie był jednak taki głupi. Zorientował się szybko, że ktoś niepowołany gospodaruje w kasie banku i podejrzewał młodego Duffingwella. Na mnie też krzywo patrzył bo kręciłem się zanadto w okolicach banku.

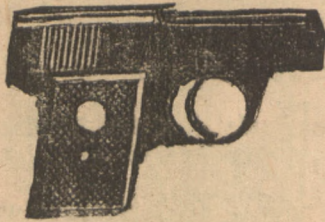
Ten człowiek złożył nawet zameldowanie i już miano rozpocząć w tej sprawie dochodzenie, gdy nagle do wszystkiego wmieszala się kobieta... siostra Leonarda. Secor był jej narzeczoną, ale ona uważała, że najważniejszą rzeczą na świecie jest honor rodziny i wymogła na nim, żeby wyjechał. Nagły wyjazd Secora zwrócił podejrzenia w jego kierunku, a tymczasem stary Duffingwell, który nie chciał wierzyć w winę jedynego syna, skierował sprawę na innej tory i teraz okazało się, że winien jestem ja i... Secor. Niech pan ze mną teraz uczyni co się panu podoba...

— Chcę ci dać okazję do uratowania skóry! — rzekł wywiadowca. — Pojedziesz ze mną do Santa-Fe i udasz się do urzędu śledczego. Tam zeznasz wszystko to, co przede mną i potwierdzisz swe zeznania przysięgą. W ten sposób uratujesz honor i wolność Lorenza Secora a jednocześnie wskażesz prawdziwego zbrodniarza. Postaram się, aby ukarano cię bardzo łagodnie, gdyż okazałeś skruchę.

— Uczynię wszystko, co mi pan każe! — zawołał bandyta. — Mam już dość tego wszystkiego! Tułam się bez chleba i pieniędzy, a dziś po raz pierwszy w życiu zdecydowałem się na strzał do człowieka... Szczęście, że chybiłem!

Nagle rozległ się tętent kopyt końskich. Wywiadowca szybko ukrył się wraz ze swym więźniem

Sensacyjna nowość 1938!! Automat-pistolet „GROM“



Fason belgijski Kal. 6-cio mm. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający. Idealna obrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rękojeść kryta lśniącym bakelitem! Waga 200 gr. długość 10 cm., szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na

5 lat. Cena tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Setka naboł syst. „Flobert“ zł. 3.65. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona I. skrz. poczt. 802 B. B. — Uwaga! Wystrzegać się taniej tandety, polecanej przez pokatnych sprzedawców, którzy przyrzekają magazynki, naboje, futerały i nie dodają. Zamawiając u nas, będziecie zadowoleni.



w cieniu muru i oczekiwał pojawienia się jeźdźca. Wreszcie obok muru ukazała się jakaś postać na koniu, na której widok Cody wydał okrzyk radości. Była to Złotowłosa!

Dziewczyna podniosła rewolwer, ale Cody zawołał:

— Nie strzelaj do przyjaciela!... Stój!...

Dziewczyna aż krzyknęła z radości, ale natychmiast zawołała z obawą:

— Jestem ścigana... Si Kent i Czerwona Ręka są na moim tropie!...

Niebawem znów rozległ się tętent i po chwili obok muru zjawił się Czerwona Ręka. Poznał od razu wywiadowcę i z bronią w ręku rzucił się w jego kierunku. Konie obu mężczyzn oparły się o siebie bokami i rozpoczęła się straszliwa walka — na śmierć i życie. Buffalo Bill nie miał zamiaru uśmiercać przeciwnika, pragnął go tylko unieszkodliwić, biały zdrajca natomiast płonął żądzą mordu.

W ręku jego błysnął rewolwer... Cody chwycił go za rękę i zaczęły się długie zmagania. Buffalo Bill mógł drugą ręką wydobyć z pasa swoją broń i strzelić do przeciwnika, ale nie chciał czynić mu żadnej krzywdy i dlatego pragnął tylko wyrwać mu broń. W pewnej chwili huknął strzał... To rewolwer, o który walczyli obaj przeciwnicy, dał ognia. Kula przeszła na wylot pierś Czerwonej Ręki, który pochylał się na siodle.

Buffalo Bill jednym skokiem znalazł się na ziemi i chwycił w ramiona ślaniającego się przeciwnika. Złożył go starannie na ziemi i pochylał się nad nim.

Tajemnica Czerwonej Ręki

Umierający bandyta zamyślił się głęboko, a wreszcie rzekł słabym głosem:

— Moje życie ucieka, Buffalo... Chcę jeszcze wyjaśnić kilka spraw. Przede wszystkim... Złotowłosa... nie jest moja córką...

— Jak to? — zawołała zdumiona dziewczyna.

— Tak!... — rzekł Czerwona Ręka. — Chcę teraz wszystko opowiedzieć!... Znałem niegdyś twoją matkę... kochałem ją. Mieszkaliśmy w jednej okolicy w Delaware. Matka twoja wiedziała o moim uczuciu, ale nie podzielała go. Wyszła za innego...

Zaprzysięgłem zemstę!... Nie mogłem znieść myśli, że zostałem odtrącony. Usiłowałem zastrzelić

meego szczęśliwego rywala, ale nie udało mi się to. Wyrwano mi broń z ręki i zostałem wypędzony z osady za usiłowanie zabójstwa... Staczałem się coraz niżej... Włóczyłem się całymi miesiącami po preriach i górach. Głodowałem... Wreszcie natrafiłem na plemię Seminolów, które mi dało schronienie.

Pewnego razu, wódz plemienia spadł z konia i nie mógł ruszyć na wyprawę przeciwko sąsiedniemu plemieniu Czerwonoskórych. Stałem na czele wojowników i poprowadziłem ich do zwycięstwa!... Gdy stary wódz umarł, rada wojowników obrała mnie wodzem. Od tego czasu jestem zdrajcą...

Pewnego dnia straża mojego plemienia doniosła, że w wozie zatrzymał się konwój emigrantów. Udałem się na zwiady i jakaż była moja wściekłość, gdy wśród osadników zauważyłem twoją matkę i jej męża... Ty byłaś wówczas maleńkim dzieckiem...

Nocą, moi wojownicy spadli jak sępy na pogrążony we śnie obóz białych... Nikt nie uszedł z życiem... ciebie jedną przynieśli mi wojownicy. Wychowywałem cię jak własne dziecko, mimo, że darzyłem tych rodziców tak straszną nienawiścią. Potem przybył w te strony Si Kent... To łotr jeszcze gorszy ode mnie. Intrygował przeciwko mnie wśród wojowników i wymógł na mnie, że oddam mu za żonę... Złotowłosa... Zgodziłem się.

Si Kent pojechał wraz ze mną szukać cie... Zawrócił przed samym murem, gdy ujrzał Buffalo Billa. Strzeżcie go się!... To przebiegły i nikczemny człowiek...

To nie jest jednak najważniejsze... Chcę powierzyć wam jeszcze jedną tajemnicę, która może mieć znaczenie decydujące dla tej, którą nazywałem córką przez tyle lat... Pamięta pan, Cody, jak mówiłem, że osadnicy szukali złota i nazwali nawet jedną z przełęczycy Złotą? Powiedziałem wtedy, że nie ma tam nawet śladu złotego piasku... Kłamałem! W okolicy Złotej Przełęczycy nie ma również duchów... Tajemniczym jeźdźcą, którego pan ścigał, była... Złotowłosa!...

— Jak to? — rzekł Buffalo Bill, z wyrzutem patrząc na dziewczynę.

Złotowłosa pochylała głowę i rzekła:

— Niech mnie pan nie sądzi zbyt surowo. Robiłam to dla dobra tych nielicznych białych, którzy zapuszczali się w te okolice... Indianie byli pewni, że w wozie doprawdy są duchy, a ojciec... pozwalał mi na to... On nie jest taki zły...

— Nie broń mnie, moje dziecko! — rzekł łagodnie umierający. — Ale chcę wam powiedzieć wszystko... Nie chciałem, by osadnicy przybywali do wozu, na Granicę Śmierci, gdyż gdy kryłem przed nimi tajemnicę... wielką tajemnicę... skarb!

— Jaki skarb? — spytał Buffalo Bill zaskoczony.

— Bezcenne złoza złota!... Właśnie w Złotej Przełęczycy... To będzie dla Złotowłosej... chcę naprawić wyrządzoną jej krzywdę... Oto plan kopalni — oddaje go w twoje ręce Buffalo... mam do ciebie zaufanie. Plan jest zupełnie prosty i zrozumiały... Chcę, żeby Złotowłosa była bogata i szczęśliwa...

— Czy Si Kent zna tę tajemnicę? — spytał wywiadowca.

— Nie!... Nie powiedziałem mu ani słowa... zabili by mnie i przywłaszczyli by sobie wszystko. On nie wie nic... Musicie wracać do Granicy Śmierci... zabierzcie wojsko, dużo wojska, niech moja córka mieszka między białymi...

Czerwona Ręka przerwał i wśród ciszy sły­chać było tylko jego ciężki oddech. Biały wódz Semino­łów umierał.

Buffalo Bill pochylił się jeszcze niżej nad nie­szczęśliwym i starał się podtrzymać jego bezwładnie opadającą głowę. Złotowłosa pochyliła głowę, a po­tem nagle ukryła twarz w dłoniach i zaskakała. Kocha­ła swego przybranego ojca, mimo, że był renegatem i bandytą.

Czerwona Ręka jeszcze raz otworzył usta i wy­szepał:

— Buffalo... Bill... błagam cie, zaopiekuj się... dzieckiem... nie pozwól jej skrzywdzić! Si Kent... to... zły człowiek...

Wywiadowca milcząco skinął głową. Po chwili powstał i podniósł z kolan Złotowłosa, która cicho płakała. Promienie księżyca padały na siwą brodę i ostre rysy starca, który już przestał oddychać...

Czerwona Ręka, biały wódz Indian, udał się w daleką podróż do Krainy Wiecznych Łowów.

Helena Truett-Złotowłosa

Buffalo Bill powrócił do swego jeńca, który z przerażeniem przyglądał się walce i dalszemu prze­biegowi wypadków.

— Kim był ten człowiek? — zapytał Wirt Wel­don.

— Znano go wszędzie pod mianem Czerwonej Ręki! — odparł wywiadowca.

— O! Słyszałem o nim! Za jego głowę wyzna­czono nagrodę dwóch tysięcy dolarów... Pan ma wy­jątkowe szczęście!

— Nie mam zamiaru przyjąć tych pieniędzy, — rzekł Cody poważnie. — Jeżeli jednak nie zawie­dziesz mego zaufania i postąpisz tak, jak przyrzek­łeś, postaram się aby te pieniądze zostały tobie wręczone. Pozwól ci one zacząć nowe życie uc­ziwego człowieka.

— Dziękuję panu serdecznie, Cody!... Przysię­gam, że nie zawiodę pańskiego zaufania!...

Złotowłosa, Cody i Wirt Weldon dosiedli koni, przy czym bandyta dosiadł konia zabitego wodza i pojechali razem w kierunku Santa-Fe. Buffalo Bill udał się natychmiast do siedziby władz miejscowych i zameldował, że wódz Czerwonoskórych z Granicy Śmierci nie żyje. Przeprowadził również ze sobą Wirta Weldon, który w obecności sędziego i świad­ków złożył wyczerpujące zeznania w sprawie Loren­za Secora.

Tego samego dnia Złotowłosa została umiesz­czona w pensjonacie dla panien, którego kierownic­ka po macierzyńsku zaopiekowała się małą dzikus­ką. Z papierów, które pozostawił po sobie Czerwo­na Ręka, wynikało, że prawdziwe nazwisko dziew­czyny brzmi Helena Truett. Załatwiono wszelkie formalności i Helena została członkiem cywilizowa­nego społeczeństwa.

Po wypoczynku, Cody przybył do Heleny, aby z nią porozmawiać o sytuacji na Granicy Śmierci. Sprawozdanie dziewczyny nie brzmiało wcale po­cieszająco.

— Nie licząc się z niebezpieczeństwem — zaczę­ła opowiadać Helena — wydostałam się z chaty i do­siadziłam konia, puściłam się galopem do osady bia­łych. Zaprowadzono mnie tam do blockhousu i sta­nęłam przed radą, złożoną ze starszych wiekiem ko­lonistów. Powiedziały im, że Indianie planują na­pad na kolonię jednej z najbliższych nocy i doradzi­łam zachowanie wszelkich środków ostrożności. Po-

wołałam się również na pana i opowiedziałam, co się z panem stało...

— Co oni powiedzieli? — zapytał niecierpliwie Cody.

Helena Truett pochyliła głowę ze smutkiem i rzekła:

— Nie chcieli mnie wcale słuchać... Śmieli się ze mnie i z moich obaw!... Nie mogłam im przecież po­wiedzieć, że jestem córką wodza Indian...

— A to durnie! — zawołał Buffalo Bill z gniewem. — Należy ich wciąż pilnować, jak małe dzieci! Z chwilą gdy zostają sami, tracą wszelkie poczucie rozsądku!...

— W każdym razie to nie moja wina. Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy. Odmalowałam im niebezpieczeństwo w najczarniejszych barwach, opi­sywałam im siłę i okrucieństwo Seminolów oraz za­ciekłość ich białego wodza. Nic nie pomogło! Osad­nicy śmieli się z moich obaw i twierdzili, że dosko­nale dadzą sobie radę z przeważającą nawet liczbą nieprzyjaciół. Mówili, że Indianie potrafią tylko pod­palać w nocy puste domy i że boją się białych...

— Co więc uczyniłaś?

— Wróciłam do domu. Chciałam teraz za wszel­ką cenę dostać się do Santa-Fe, aby pana spotkać... Tymczasem wykryto pańskie zniknięcie... ojciec był nieprzytomny z gniewu. Zaczęli mnie, z Si Kentem, podejrzewać o to, że pomogłam panu w ucieczce. Mu siałam uciekać jak najprędzej. Było to jednak bardzo trudne. Ojciec i Si Kent pilnowali mnie jak oka w głowie i szpiegowali każdy mój ruch.

— A jednak udało ci się uniknąć!

— Tak!.. Wywiodłam ich obu w pole. Nauczy­łam się niejednego od Czerwonoskórych, a przede wszystkim panowania nad sobą. Wie pan przecież, że Indianin nigdy nie zdradza swoich uczuć i zawsze potrafi zachować obojętny wyraz twarzy. Czyniłam tak samo. Na pozór wydawało się, że zajmuje się zwykłymi sprawami i nie zwracam uwagi na nic. W rzeczywistości jednak przygotowałam się starannie do ucieczki. Przygotowałam sobie niewielki zapas żywności na drogę i na noc umieściłam konia w ta­kim miejscu, żeby można go było najłatwiej dopaść w razie potrzeby.

Nareszcie zapadł mrok. Ojciec ułożył się do snu i niebawem rozległo się jego donośne chrapanie. Wyślizgnęłam się z chaty... Jakież było jednak moje przerażenie, gdy ujrzałam Si Kent, siedzącego na ławce tuż obok drzwi. Zdawało mi się, że plan u­cieczki został udaremniony. Tak jednak nie było. Si Kent miał widocznie zamiar pilnować w nocy wyjścia z chaty, ale... zasnął. Gdy to zauważyłam, puściłam się pędem w kierunku, gdzie znajdował się mój wierzchowiec, a w chwilę potem galopowałam w stronę Santa-Fe...

Ojciec jednak obudził się widocznie i zauważył moją ucieczkę, gdyż w godzinę później spostrzegłam, że jestem ścigana. Czerwona Ręka i Si Kent na cze­le kilkunastu wojowników pędzili za mną co koni wyskoczy. Zdołałam jednak utrzymać dystans aż do okolic miasta. Tu Indianie i Si Kent cofnęli się, bo­jąc się zjawiać tak blisko Santa-Fe, zaś Czerwona Ręka podeszła dalej... Wie pan, co stało się potem. Cody.

Walka na Granicy Śmierci

— Wiem co teraz do mnie należy! — zawołał Buffalo Bill. — Udam się natychmiast do komendan­ta sił zbrojnych Santa-Fe i zażadam natychmiasto­wego wysłania wojska na pomoc osadnikom.

CUDA I TAJEMNICE CZARNEJ I BIAŁEJ MAGJI

każdy, kto chce wzbudzić w sobie zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Lustro magiczne, latający zegar. Tańczące jabłko. List w jajku. Jajo w butelce. Śpiewająca fiaszka. Sztuki z rachunkami, z kartami, z zakresu akustyki, optyki, pirotechniki. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kofodziejczyk, Warszawa I Pl. Napoleona skr. poczt 802 B. B.



NIE ZWLEKAJ SZYBKO ZAMAWIAJ!
UWAGA: Bezplatnie dodajemy najnowsza wszechswiatowa ksiazke p. t. „Sztuka wrózenia z kart i rak” według słynnej wróżki Napoleona I. P. Lenormand.

— Niech mnie pan zabierze ze sobą.. — poprosiła Helena.

— Nie moje dziecko! Nie możesz z nami pojechać, gdyż mogłabyś narazić się na niebezpieczeństwo. Dość już strasznych rzeczy przeżyłaś w ostatnich dniach. Mogłabyś jeszcze wpaść w ręce tego nędznika Si Kenta... Zostaniesz w Santa-Fe do mego powrotu, a potem zastanowimy się nad twoim dalszym losem.

Cody zastanowił się chwilę, a potem zaczął mówić powoli i poważnie:

— Jeśli udam się z wojskiem na Granicę Śmierci to nie po to, aby obronić nowozałożoną osadę przed Indianami... To jest tylko część naszego zadania. Musimy wyprzeć Indian zupełnie w góry, aby nie stawali w drodze kolonistom. Muszę również rozprawić się z Si Kentem, który jest złym duchem Indian i namawia ich do wszystkich ataków na białych. Gdy ten łotr zostanie unieszkodliwiony będzie można zawrzeć z plemieniem Seminolów pokój. To umożliwi rozpoczęcie poszukiwań w górach. Twoja działka złotodajna jest przecież tylko częścią złóż złotego kruszcu. Cała Granica Śmierci to jedno wielkie złotodajne pole... A teraz: do dzieła!

— Niech pana Bóg prowadzi! — zawołała dziewczyna za wywiadowcą, który już siedział na koniu.

W towarzystwie Wirta Weldon'a udał się Cody do garnizonu i niebawem stanął znów przed komendantem.

— Miejmy nadzieję, — rzekł oficer, — że moi ludzie zdążą jeszcze na czas. Wyruszą oczywiście pod pańskim dowództwem, Cody. Co zaś do Si Kenta, to nie należy go oszczędzać! Ten człowiek ma na sumieniu wszelkie możliwe zbrodnie.

— Sądze, że uda mi się przybyć na czas i zapobiec rzezi, majorze — rzekł spokojnie Buffalo Bill. — Si Kent zaś na pewno mi nie ujdzie. Czy godzina wystarczy żołnierzom na przygotowanie się do wymarszu?

— Brawo! — zawołał ze śmiechem komendant. — Widzę, że nie ma pan zamiaru tracić cennego czasu, to mi się podoba!

★

W godzinę później pięć szwadronów kawalerii i dwie połowe armatki posuwały się spieszonym marszem w kierunku Gór Skalistych. Gdy oddział dotarł do miejsca, gdzie rozpoczyna się wąwóz, Buffalo Bill

nakazał zachowanie wszystkich środków ostrożności i posuwano się odtąd ostrożnie, wysyłając ciągle wywiadowców naprzód, aby nie wpaść w zasadzkę.

Po pewnym czasie usłyszano z oddali odgłosy walki. Słychać było strzały i dzikie wrzaski Czerwonoskórych... Słońce chyliło się już ku zachodowi, a oddział znajdował się w odległości kilku mil jeszcze od miejsca, gdzie stał blockhaus osadników. Należało się więc spieszyć.

Buffalo Bill nie wahał się ani chwili. Dał znak jeźdźcom i zawołał grzmiącym głosem:

— Za mną!

Jeźdźcy ruszyli szalonym galopem i po chwili znaleźli się na szczycie wzgórza, skąd mogli doskonale obserwować walkę. Widok był straszliwy i niesamowity. Indianie osaczyli osadników w forcie, w którym ci bronili się jak lwów. Byli już jednak bardzo wyczerpani. Widoczne było, że w forcie jest już brak amunicji, gdyż strzały padały coraz rzadziej... Sytuacja była rozpaczliwa.

W chwili, gdy oddział jeźdźców stanął na wzgórzu, Seminole podjęli nowy atak. Straszliwy okrzyk wojenny rozdarł powietrze i chmara półnagich wojowników ruszyła biegiem na fort. Indianie posuwali się w zwartych kolumnach, nie lękając się widocznie rzadkich strzałów obłożonych. Czerwonoskórzy otoczyli blockhaus wielkim pierścieniem, który coraz bardziej zaciskał się dokoła obłożonych.

Seminole zostawili konie w pobliskiej kotlinie i posuwali się pieszo. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca groźnie błyszcząły ich karabiny, noże i tomahawki. Złowrogo brzmiał ich okrzyk wojenny, który echo roznosiło szeroko po całym wąwozie. Wreszcie dotarli do blockhausu. Setki brunatnych ciał pokryło wysoką palisadę, wojownicy wska kiwali jeden po drugim na wysokie słupy, zdawało się, że wszystko jest stracone...

Strzały przestały się odzywać z fortecy obłożonych — osadnicy nie mieli już amunicji. Rozgorzała walka na białą broń. Buffalo Bill widział wszystko dokładnie, gdyż posługiwał się lunetą. Widział wyraźnie postacie walczących. Na palisadzie stały również kobiety, które na równi z mężczyznami brały udział w walce, gdyż mężczyźni zdolnych do walki było coraz mniej.

Ale w chwili, gdy położenie białych zdawało się być bez wyjścia, głuchy łoskot rozległ się w wąwozie. To dwie armaty Buffalo Billa rozpoczynały swój straszliwy koncert. Kanonierzy mierzyli dobrze, a zresztą odległość była tak niewielka, że ominięcie fortu nie przedstawiało żadnej trudności.

Już pierwsze pociski armatnie wywołały popłoch wśród Czerwonoskórych. Z doliny dobiegły teraz dzikie wycia przerażenia i rozpacz. Kule waliły w zwartą masę Indian jak pioruny, całe stopy powalonych wojowników zaścielały ziemię. Tymczasem kanonierzy pracowali jak diabły.

— Bacność!... Ognia!...

Znów straszliwy huk rozdarł powietrze i znów odpowiedziało mu przerażone wycie Indian. Gdy dym po wystrzale rozwiął się, można było dopiero ocenić jego straszliwe skutki. Indianie umykali teraz w popłochu, jak zające, pomykając się o ciała leżących towarzyszy.

— Bacność!... Ognia!...

Biały dym znów zasłonił widok, a gdy się rozwiął, Buffalo Bill ocenił, że można użyć kawalerii do dalszej akcji.

Tymczasem obrońcy fortu szaleli z radości. Oto zjawiała się niespodziewana pomoc, która w ciągu

Kilku minut zniszczyła całą siłę nieprzyjaciela. Wszyscy obrońcy stanęli na palisadzie krzycząc z radości i wymachując rękami...

Buffalo Bill wraz ze swymi jeźdźcami spadł jak burza na karki Seminolów. Kawalerzyści dopadli uciekinierów indyjskich zanim ci zdolali dotrzeć do swych koni. Wrzaskom Czerwonoskórych odpowiedziało grzmiące „hurra” żołnierzy, którzy w mig rozbili resztę sił nieprzyjaciela.

Gdy Indianie znaleźli się w pobliżu swej wsi, gdzie czuli się bezpieczniejsi, natknęli się tam na inny oddział żołnierzy, który wysłał Buffalo Bill. Kłeska Seminolów była zupełna.

Pojedynek w nocy

Buffalo Bill nie zamieszkał w forcie. Udał się on w góry i zamieszkał w wielkim domu z nieciosanych kłód drzewa, który niegdyś należał do Czerwonej Ręki. Miał ku temu ważne powody. Wysłał on przez jednego z żołnierzy dwa listy do Santa-Fe, jeden zaadresowany do Heleny, a drugi pod tajnym adresem do Lorenza Secora.

— Mój chłopcze! — rzekł do żołnierza, który miał oddać listy na pocztę w Santa-Fe. — Nie żałuj konia, bo to są bardzo ważne wiadomości, a tu masz dwie sztuki złota, które możesz przepić za moje zdrowie w najlepszym barze w całym Santa-Fe! Uradowany posłaniec dosiadł konia i pognął jak wicher. Cody kazał Wirtowi Weldon pozostać w block housie osadników, sam zaś wrócił w góry i rozpoczął pilne poszukiwania. Po kilku dniach natknął się wreszcie na miejsce, oznaczone przez Czerwoną Rękę na planie i stwierdził, że stary zdrajca nie kłamał. Skąły w tym miejscu były dosłownie naszpikowane żyłami czystego złota!...

W forcie załatwił formalność zapisania wielkiej części złóż na nazwisko Heleny Truett. Po kilka działek zapisał również na nazwisko Lorenza Secora i... Wirta Weldon. Nie opuszczał jednak ciągle swego mieszkania w górach.

Pewnej nocy Buffalo Bill wrócił do chaty i w ubraniu położył się na posłaniu ze skór. Nagle usłyszał jakiś dziwny szelest, jakby ktoś usiłował otworzyć drzwi, albo jak gdyby jakieś duże zwierze ocierało się o ścianę domu. Cody pomyślał o szarym niedźwiedziu i sięgnął po swą fuzję.

Kilka minut upłynęło w milczeniu, a potem tajemniczy szelest znów się powtórzył. Cody nie poruszył się na posłaniu. Udawał, że jest pogrążony w głębokim śnie, a jednocześnie nie spuszczał oczu z drzwi i oczekiwał tajemniczego napastnika. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że tajemnicza istota był człowiek i to człowiek biały. Odgłos kroków świadczył o tym, że nosi on podkute buty, a nie mokasyny, jak Indianie.

Wreszcie ktoś zaczął delikatnie manipulować przy klamce... Lufy obu nabitych rewolwerów wywiadowcy zostały wymierzone w kierunku drzwi. Drzwi otworzyły się prawie bezszelestnie i jakaś postać stanęła w nich. Światło księżyca wyraźnie oświetlało rysy nocnego gościa — był nim Si Kent.

Buffalo Bill nie poruszył się z miejsca. Nie chciał zabijać nawet śmiertelnego wroga, jeśli nie był pewny, czy ten nie przybywa do niego z przyjaznymi zamiarami. Wywiadowca czekał więc w milczeniu.

Bandyta stał chwilę w drzwiach, a potem zaczął ostrożnie rozglądać się po pokoju. Wzrok jego padł na leżącą nieruchomo postać wywiadowcy i na twarzy Si Kenta pojawił się straszliwy uśmiech. Jego

ręka uzbrojona w nóż wysunęła się do przodu, chabło pochylono się i zbrodniarz ruszył bezszelestnie w stronę posłania.

— Rece do góry, Si Kent, albo nie przeżyjesz sekundy! — rozległ się nagie grzmiące głos Buffalo Billa.

Bandyta stanął jak wryty, a nóż wypadł mu z drżącej dłoni. Opamiętał się jednak szybko i wywał z pasa rewolwer. Nie zdążył jednak dać ognia, gdyż Król Granicy jak lawina spadł na niego i wytracił mu broń z ręki.

Obaj mężczyźni zwarli się w straszliwe walce. Stałowe ramiona Codyego opasały bandytę, nie pozwalając mu odetchnąć... Si Kent walczył jednak zaciekle. W pewnej chwili udało mu się, leżąc na ziemi, sięgnąć po nóż, który mu przedtem wypadł z ręki. Buffalo Bill zauważył jednak ten manewr.

Swą żelazną prawicą zmiażdżył dłoń wroga i nóż po raz drugi padł na ziemię. Bandyta nie dawał jednak za wygraną. Udało mu się na chwilę wysunąć z rąk wywiadowcy. W reku jego błysnął rewolwer i padł strzał!...

Nie pochodził on jednak z rewolweru Si Kenta. To Buffalo Bill pierwszy strzelił, widząc, że bandyta sięga po broń. Si Kent zachwiał się, broń wypadła z jego bezwładnej dłoni... Wreszcie runął na ziemię bez jęku. Kula Buffalo Billa przeszła mu serce.

Cody ostrożnie wyszedł z chaty i rozejrzał się w okolicy. Obawiał się, że biały zdrajca nie przybył sam, lecz przyprowadził ze sobą swych czerwonoskórych sprzymierzeńców. Obawy Buffalo Billa były jednak płonne. Bandyta był zupełnie sam.

★

O świcie Buffalo Bill opuścił chatę Czerwonej Ręki i skierował się w stronę osiedla kolonistów, gdzie znajdowali się jeszcze żołnierze. Nagle dosłyszał odgłos kopyt końskich i na zakręcie drogi ujrzał dwóch jeźdźców zbliżających się szybkim kłusem.

Była to Helena, której towarzyszył jakiś młody mężczyzna, w którym czytelnicy na pewno domyślą ją się Lorenza Secora.

Walka o honor

Buffalo Bill rzucił się w kierunku przybywających, aby ich serdecznie powitać. Na widok wywiadowcy, młody człowiek rzucił w górę kapelusz i zawołał z entuzjazmem.

— Niech żyje Buffalo Bill!... Niech pana Bóg błogosławi, Cody, za wszystko, co pan dla mnie uczynił!... Nie wiem, jak się panu odwdzięczę...

— Niech pan nie mówi o wdzięczności, przyjacielu! — rzekł z uśmiechem wywiadowca. — To ja raczej jestem panu winien wdzięczność... Pan uratował mi życie. Ale nie mówmy już o tym. Dobrze, że pan przyjechał, Secor... Widocznie list mój dotarł do pana na czas.

— Oczywiście! — odparł młodzieniec. — Udałem się natychmiast do Santa-Fe, gdzie poznałem tę czarującą młodą osobę, która uważa się za pańską siostrę. Jeżeli tak jest, to godna jest brata... Zastanawiałem się, czy pani Helene gotowa do podróży, gdyż i ona otrzymała od pana list. Dobrze się złożyło, że pańska siostra zgodziła się pojechać wraz ze mną. Byłem najszczęśliwszym podróżnym pod słońcem! — Tu oczy młodego człowieka podniosły się w górę. — Ale, ale — dodał — gdzie jest Wirt Weldon?

— Ten gagatek jest w kolonii. W gruncie rzeczy to całkiem niezły człowiek, ale zepsuło go złe

towarzystwo. Jutro go pan zobaczy. Dziś chciałem z wami obejrzeć kilka odcinków przyszłych kopalni złota. Musicie wiedzieć, co do was należy, gdyż odpowiednie akty zostały już sporządzone... Poza tym w chacie Czerwonej Ręki jest pełno już wydobytgo złota: to będzie prezent dla Heleny!

— Oczywiście! — zawołał Secor z entuzjazmem. — A wie pan, Cody, że panna Helena zgodziła się na zamieszkanie u mojej matki, nie ma przecież nikogo prócz pana, a pan przecież nie ma czasu na edukację młodych panien!...

— Nic nie mam przeciwko temu! — rzekł z uśmiechem Cody, który z satysfakcją patrzył na obój młodych. — Ale chciałem wam jeszcze powiedzieć, że nasz największy wróg, Si Kent, zginął tej nocy. Usiłował mnie napaść z bronią w ręku. Walczyliśmy... ja miałem widocznie więcej szczęścia. No, myślę, że ludzkość nie poniosła wielkiej straty, że Si Kent opuścił ten świat. Nie należał on do najuczciwszych i najłagodniejszych ludzi na świecie.

— A jednak żał mi go trochę! — westchnęła Helena. — Był dla mnie dobry... Niech Bóg zmiłuje się nad jego duszą!...

Tego samego dnia Helena i Secor obejrzeni pod kierownictwem Buffalo Billa bogate złoża złota, które odtań miały stanowić ich własność. Nazajutrz zaś cała trójka udała się do osady.

Na widok Lorenza Secora, Wirtowi Waldonowi rzędnła mocno mina, ale młody człowiek był tak uradowany swą rehabilitacją i tak zajęty Heleną, że nie zachował żadnej urazy do Weldon.

Weldon opowiedział jeszcze raz całą swą historię, nie szczędząc przekleństw i złorzeczeń pod adresem Duffingwella. Buffalo Bill dał mu kilka dobrych rad w obecności Secora.

— Weldon! — rzekł. — Przyznasz, że twoje dotychczasowe życie było jednym pasmem łajdactwa! Możesz teraz zacząć nowy, uczciwy żywot — masz wszelkie warunki po temu. Otrzymałeś dwa tysiące dolarów, a ponadto jesteś dziś właścicielem okazałej działki złotodajnej... Zabierz się do uczciwej pracy i nie wdawaj się w złe towarzystwo. Gdybyś jeszcze raz popróbował jakiegoś łajdactwa, będziesz miał ze mną do czynienia, a przekonałeś się już, że to nie należy do rzeczy najprzyjemniejszych.

— Wiem, wiem, Cody! Wolalbym popaść w nieporozumienie z diabłem, niż z panem!

★

W dwa dni później Helena Truett i Lorenz Secor wrócili do Santa-Fe. Skorzystali oni z tego, że niewielki oddział żołnierzy wracał do garnizonu i odbyli całą drogę pod wojskową eskortą.

Buffalo Bill długo patrzył za odjeżdżającymi z uśmiechem na ustach. Wreszcie mruknał pod nosem:

— Hm!... Któżby się tego spodziewał? Miłość od pierwszego spojrzenia... Nie szkodzi, przecież nawet ich działki sąsiadują ze sobą!...

★

Pojawienie się Lorenza Secora w Santa-Fe w towarzystwie uroczej dziewczyny, która jeździła konno, jak cowboy, a była piękna jak bóstwo, wzbudziło ogólną sensację. Wszyscy byli przekonani, że młodzieniec pozostaje pod zarzutem chrabawania banku i oczekiwano ogólnie jego aresztowania.

Jakież było jednak zdziwienie obywateli Santa-Fe, gdy ujrzeli Secora spacerującego na ulicy z ko-

mendantem miejscowego garnizonu. Obaj mężczyźni zajęci byli przyjacielską pogawędką i nie wskazywało na to, by Secor był uważany za złodzieja.

Lilly Duffingwell, dawna narzeczona Secora, była wściekła. Jak śmiał ten człowiek, któremu ona kazała opuścić miasto zjawiać się w nim na powrót i bezczelnie pokazywać się ludziom. Dumna panna uważała, że honor jej rodziny został w ten sposób shańbiony na zawsze.

Czyn brata był dla niej do pewnego stopnia usprawiedliwiony. Wiedziała, że Leonard jest karciarzem, ale to nie było planem na jego honorze. Shańbić nie mogła go nawet kradzież — hańbiące było tylko przyznanie się do kradzieży.

Jakież było przerażenie Miss Lilly, gdy pewnego dnia zjawił się w jej apartamentach Lorenz Secor. Lilly udała omdlenie, ale młodzieniec był spokojny i opanowany.

— Czemu nie mdlała pani, gdy opuszczałem miasto jako zbieg, poszukiwany przez władze — zapytał zimno. — Wtedy nie miała pani dla mnie nawet ciepłego słowa, nie dbała pani o to, że grozi mi więzienie, lub śmierć. Brat pani jest łajdakiem, któremu należy się więzienie i nie mam zamiaru na jego korzyść rezygnować z wierności i ze swego dobrego imienia! Mam w ręku wszystkie środki, aby dowieść swojej niewinności i udowodnić winę brata pani!...

— Pan jest podły... — wyjąkała Miss Lilly.

— Możliwe! — odparł młodzieniec. — Sądzę jednak, że pani i pani brat postąpiliście ze mną w sposób o wiele podlejszy...

To rzekłszy młodzieniec skłonił się głęboko przed wytraconą z równowagi panną i opuścił jej dom. Następnego dnia zjawił się u Leonharda Duffingwella, który ufając w swoje wpływy i znaczenie swego ojca, nie miał zamiaru uchodzić z miasta, ani tłumaczyć się przed nikim.

Leonard przyjął Secora w sposób ordynarny i brutalny. Secor pragnął zostawić mu jakąś deskę ratunku, chciał umożliwić mu wyjście z honorem z całej afery i omówił nawet tę sprawę z miejscowymi władzami, które były skłonne zgodzić się, aby młody Duffingwell spłacił zabrane z banku sumy w ciągu kilku lat.

Teraz jednak młodzieniec zmienił zamiar i złożył sędziemu wyczerpujące zeznania, które poparte zeznaniami Weldon, obciążyły bardzo syna bankiera.

W kilka dni później Leonard został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia, a następnie odbył się nad nim sąd. Podczas rozprawy wyszły na jaw wszystkie niecne sprawki złotego młodzieńca. Wywołało to ogromne oburzenie w całym mieście. Wszyscy współczuli Secorowi, który za nie swoje winy musiał ukrywać się dłuższy czas wśród prerii, jak złoczyńca.

Jedynie na skutek interwencji ojca, Leonard uniknął więzienia. Został jednak skazany na natychmiastowe opuszczenie miasta, gdyż prawo amerykańskie przewiduje taką karę dla niepoprawnych i dokuczliwych dla społeczeństwa przestępców.

Lorenz Secor zerwał oczywiście wszelkie stosunki z Lilly Duffingwell. Zrozumiał on, że dziewczyna ta nigdy go nie kochała i nie wahała się poświęcić jego szczęścia i honoru dla swego zbrodniczego brata. Miss Lilly również wkrótce opuściła miasto, z którym wiązały się tak przykre dla niej wspomnienia. Nigdy nie wróciła do Santa-Fe.

Buffalo Bill spotkał jeszcze raz Leonarda. Było to w stanie Texas, w zajeździe, w którym gromadziły się wszelkiego rodzaju wyrzutki społeczeństwa. Syn bankiera stoczył się na samo dno. Otoczony był najgorszymi szumowinami, z którymi prawdopodobnie „współpracował“...

Lorenz Secor stał się teraz jednym z najbardziej poważanych obywateli Santa-Fe. Zaangażował robotników i zawodowych poszukiwaczy złota, którzy wkrótce wybrali się na Granicę Śmierci, aby rozpocząć pracę przy eksploatacji kopalni młodeńca.

Helena pozostała w domu matki młodzieńca, która otaczała ją troskliwą opieką i sprawiła, że Złotowłosa stała się jedną z najlepiej ułożonych młodych dam w mieście. Wszyscy otaczali dziewczynę sympatią i dowiadywali się, kiedy odbędzie się ślub z Lorenzem.

Co pewien czas młodzieniec przyjeżdżał do miasta, aby zobaczyć się z narzeczoną i matką i wtedy szczęście gościło w skromnym domostwie Secorów. Buffalo Bill był tu również częstym gościem.

Zakończenie

Minał rok. Okazało się, że zarówno kopalnia Heleny, jak i Lorenza, są niezwykle bogate w szlachetny kruszec. Praca nad wydobywaniem złotego

piasku trwała bez przerwy i bez przerwy rosło bogactwo obojga młodych.

Granica Śmierci zmieniła nazwę. Nazywano od-tąd tę okolice „Nowym Eldorado“ i dolina zaludniła się w szybkim tempie. Domy osadników i poszukiwaczy złota rosły jak grzyby po deszczu z dnia na dzień i niebawem w okolicy powstała wielka osada, którą nazwano Seminola, od nazwy plemienia Indian, które miało tu niegdyś swe siedziby.

Po dziś dzień mieszkańcy tej osady wspominają ze zgroza straszne dni, gdy osadnicy zmuszeni byli z bronią w rękę odierać ataki okrutnych Indian, a imię zerwanej Ręki, białego wodza Seminolów, nie rzadko powtarzało się w opowiadaniach starych kolonistów.

Wreszcie nadszedł dzień zaślubin Heleny Truett i Lorenza Secora. Wesele odbyło się w nowej osadzie, a wzięli w nim udział wszyscy osadnicy i poszukiwacze złota. Buffalo Bill, który przebywał w oddalonym forcie, na samej Granicy, przybył na ślub w towarzystwie Billa Hickocka i kilku innych wywiadowców.

Pierwszy toast wznosił Lorenz Secor za jego zdrowie.

Król Granicy zabawił w osadzie tylko kilka dni. Obowiązek wzywał go do fortu, gdyż Indianie znów rozpoczęli napady na konwoje osadników, zdążające na Zachód.

Koniec

Następny **Nr. 16 Buffalo Billa**, który ukaże się w czwartek dnia 26-go maja zawierać będzie przygodę p. t.

UPIOR PRERII

Cena 10 gr.

Cena 10 gr.

BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU



Kim jest

BUFFALO BILL?

Tak nazywano pułkownika armii Stanów Zjednoczonych, **W. F. Cody'ego**, znanego również wśród osadników, myśliwców i Indian na Dalekim Zachodzie, pod mianem **Króla Granicy** lub **Króla Prerii**.

Nasze opowiadania zawierają szereg ciekawych przeżyć i przygód dowódcy wywiadowców **Buffalo Billa** i jego dwóch dzielnych towarzyszy, **Billa Hickocka**, dla swej porywczosci i niepohamowanego temperamentu zwanego **Dzikiem Billem**, oraz **Nicka Whartona**, starego „rycerza prerii“, który już z niejednego pieca chleb jadł i przemierzył Amerykę od Alaski do Meksyku.

Przygody Buffalo Billa i jego dwóch towarzyszy to wspaniała epopea bohaterstwa, poświęcenia, przyjaźni i wierności.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące zeszyty:

- | | |
|---------------------------|---------------------------------|
| 1. U PAŁA MĘCZARNI | 8. POTWÓR Z PRZEKŁĘTEGO JEZIORA |
| 2. POJEDYNEK NA TOMAHAWKI | 9. NESAMOWITA OBERŻA |
| 3. POŚCIG NA LODZIE | 10. WŁADCZYNI KRATERU |
| 4. TAJNY ZWIĄZEK | 11. STRZEICY Z GÓR |
| 5. FORT NA GRANICY. | 12. TAJEMNICZY MEKSYKANIN |
| 6. TAJEMNICZY WĄWÓZ | 13. ZDOBYWCY ZACHODU |
| 7. MŚCICIELE Z ARIZONY. | 14. W KRAJNIE CZARNYCH STÓP |

Czytajcie **PRZYGODY** Czytajcie
BUFFALO BILLA

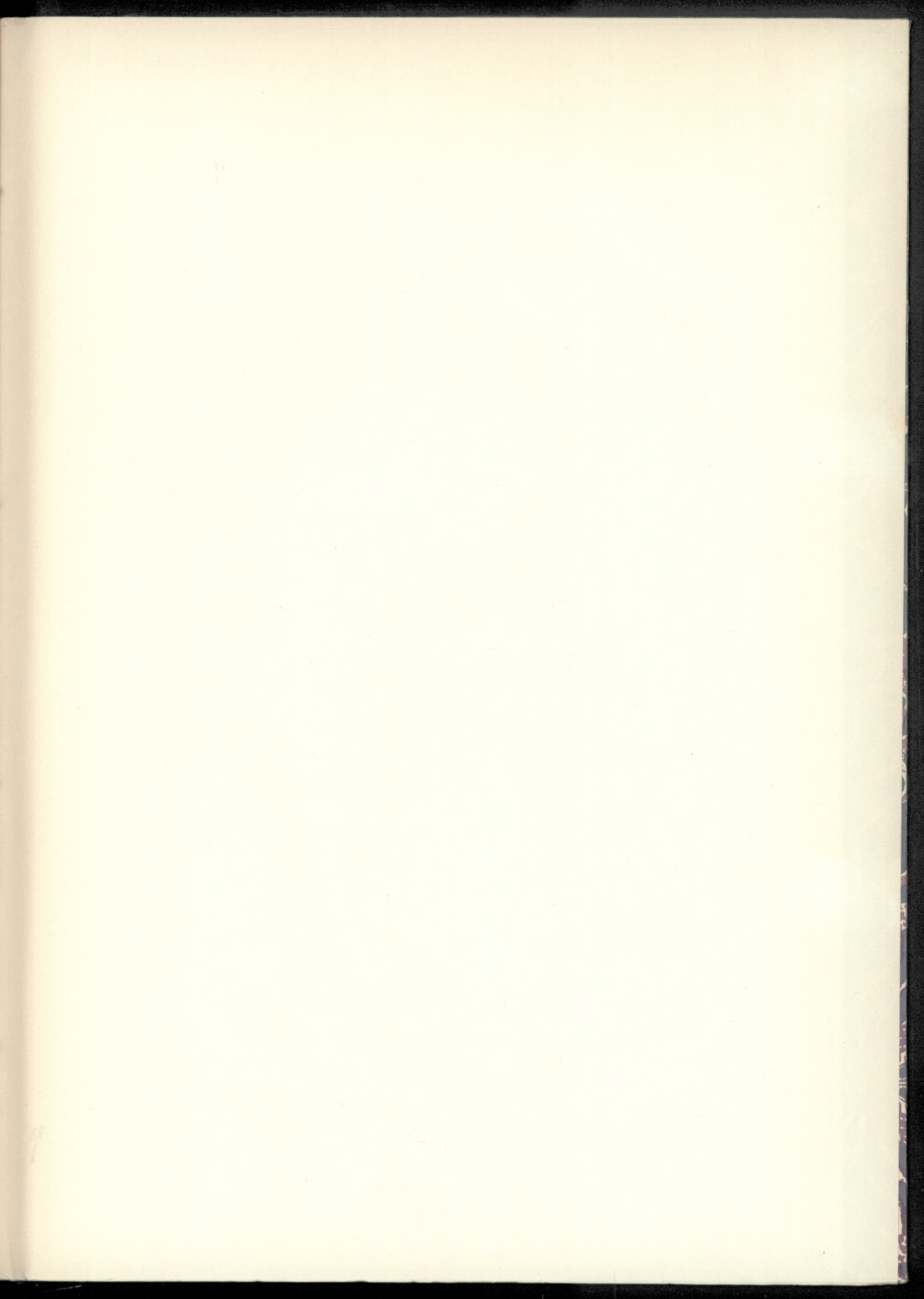
Cena

10 gr.

Co tydzień ukazuje się jeden zeszyt, stanowiący oddzielną całość

Cena

10 gr.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001023453201



623406/15

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN